



# NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1,20 zł - 8 stron

Warszawa, 8 listopada 1953 r.

Nr 45 (189) Rok IV

## 36 lat Rewolucji

W Leningradzie byliśmy z Marią Dąbrowską i Anną Kowalską na pokładzie „Aurory” zakotwiczonej jako pomnik zwycięskiej Rewolucji Październikowej na Newie. Krążownik ten stał się żywą legendą i jako symbol zwycięstwa nowej ery ludzkości nad starą będzie trwał w historii po wieczne czasy. Już pisalem o tym gdzie indziej, że pierwszy strzał z „Aurory” na Pałac Zimowy oddał marynarz Ogniew. Każdego musi uderzyć taka zbieżność. Krążownik zwiastujący światu zorzę nowych, czasów nazywa się „Aurora”, a człowiek, który pierwszy wycelował śmiertelny ogień w główne siedlisko kontrrewolucji nazywał się Ogniew.

Nie wspominam o tym po to, żeby snuć metafizyczne refleksje, ale dlatego, że w zetknięciu się z żywą, prawdziwą legendą, uderzył mnie niepowtarzalny patus Rewolucji nawet w drobnych szczegółach, w przypadkowych zbieżnościach, uniemożliwiających prostego, nieznanego człowieka.

Bo też rękami prostego człowieka i dla prostego człowieka dokonana została Socjalistyczna Rewolucja. Dla Rewolucji tysiące oddały swe życie, gdyż nie była ona dla nich abstrakcją. Masy wiedziały, że jest to dla nich początek ludzkiego życia. Miliony robotników i chłopów stanęły do walki, bo to była ich Rewolucja. Po raz pierwszy w historii lud miał słuszną pewność, że tym razem nie zostanie oszukany.

Wiara w zwycięstwo sprawiedliwości społecznej wskrzesiła w masach entuzjazm, bo socjalizm to życie, dla którego nie żał wyrzeczeń i ofiar.

„Żyć po ludzku” oznacza wyzwolenie klasy robotniczej, człowieka pracy z łańcuchów kapitalizmu, z nędzy i ciemnoty, to realizacja humanistycznych ideałów, zawartych w nauczaniu Marksa i Engelsa, Lenina i Stalina, to realizowana w codziennym działaniu idea partii bolszewickiej, która zawsze w ognisku swych poczynań stawiała szczęście człowieka.

Walka o szczęście człowieka w otoczeniu kapitalistycznym, operującym bronią interwencji, wojny i korupcji jest trudna; w pozabawionym maszyną i oświatą kraju, jakim było dziedzictwo carskie — zdawałoby się — niemożliwa. Trzeba było lat, żeby za cenę olbrzymich wysiłków powstał najnowocześniejszy i najpotężniejszy przemysł. Trzeba było lat, żeby z nieoświeconej masy wyrosła najbardziej postępową inteligencją, setki tysięcy inżynierów, agronomów, nauczycieli, miliony wykwalifikowanych majstrów i robotników. Trzeba było lat, żeby na pustyniach wyrósł wielkie miasta, ażeby kopalnie i fabryki nie tylko dawały coraz więcej i pracowały coraz lepiej, ale aby socjalistyczne zakłady pracy stały się najlepiej urządzone pod względem technicznym i zdrowotnym warsztatem, zamieniającym kapitalistyczną udrękę w twórczość godną człowieka, aby kosa i plug zastąpiła maszyna, która wyciągnęła masy z zafocowania ku najnowocześniejszej formie współżycia.

A potem wojna. Żaden system — prócz socjalistycznego, żaden naród — prócz radzieckiego nie wytrzymał takiego ciosu, a potem nie odbudowałby tylu zniszczonych tak krótkim czasie. Wiele budów, fabryk, całe miasta należało zdźwignąć od nowa. I w tym okresie kraj Rewolucji Październikowej, kraj pokoju między narodami i solidarności międzynarodowej ani na chwilę nie przerywał swej pomocy dla innych, dla Polski i krajów demokracji ludowej.

Shczęście człowieka jest, że się tak wyraża, nadbudowa jego dobrobytu. Podczas mojej ostatniej podróży po ZSRR widziałem miasta tonące w światłach i zieleni, nowe wspaniałe gmachy, obfitość w sklepach, jedzenie czarne od tłuszczu a chodniki od ludzi śpieszących w radosnym podnieceniu do teatrów, kin, sal koncertowych, na dancingi.

Radość promienieje z twarzy dzieci i matek, dziewcząt i chłopców, mężczyzn i kobiet, spotykanych w parkach, teatrach, w auli uniwersyteckiej, na stadionach, w laboratoriach, przy warsztatach. Jest to niejako świadomość, że trud tylu lat służył szczęściu człowieka, które się ziszcza w pracy, w ciągłej walce o coraz lepsze życie i o pokój.

Julian Strykowski



MARIA DĄBROWSKA

## Po powrocie z podróży

Wyjechaliśmy do Związku Radzieckiego, aby zwiedzić Moskwę, Leningrad i Kijów. Na więcej nie pozwalała krótkość pobytu w państwie niezmiernych obszarów. Rozpoczęte w kraju prace pisarskie ograniczały nasz czas do trzech tygodni, a już wymienione tu trzy stolice, to trzy olbrzymie podróże. Oszałamiający także natłok wrażeń i myśli, które niełatwo jest uszereżować, skontrolować, opisać, zwłaszcza gdy się ma to uczynić przedko, czego się wszyscy domagają. Spróbuję więc dać bodaj parę luźnych notatek z tego — dla mnie pierwszego — pobytu w kraju, którego nowa rzeczywistość jest punktem zwrotnym w dziejach świata.

Rozwiodzi się nad osiągnięciami Związku Radzieckiego w budowie socjalistycznej kultury i gospodarki to powtarzać rzeczy powszechnie znane. Mnożąc w tym tylko wspomnę o nieskazitelnym czystości widzialnych przeze mnie miast, o doskonałym rozwinięciu i wciąż ulepszanym systemie komunikacji miejskiej, o rzeczywiście wspaniałych, rozległych ulicach i dzielnicach mieszkaniowych, które już w znacznej części zastąpiły dawne niehigieniczne przedmieścia. I zatrzymam się chwilę nad dwoma elementami tej nowej urbanistyki — nad Metrem i nad zewnętrznym wyglądem bloków mieszkalnych.

Zdawałoby się, że zwiedzanie Metra to pewna przesada turystyczna. W samej rzeczy ani w Paryżu, ani w Londynie Metra się nie zwiedza. Metrem się po prostu jeździ. A jednak zwiedzenie Metra moskiewskiego jest niebanalnym przeżyciem, a dla nas ma szczególne znaczenie, skoro zamierzamy sami budować kolej podziemną w Warszawie. Metro moskiewskie jest najmlodsze z istniejących w Europie. Przez to samo już miano możność zastosować w nim wszystkie najnowsze zdobycze techniki. Uczyniono to ze szczerością i rozmachem, właściwym urządzeniom dającym do zapewnienia ludzom pracy wszystkiego, co najlepsze w nowoczesnej cywilizacji. Wagony są piękne, wygodne czyste jak laboratoria; oświetlenie na stacjach i w pojazdach idealne; wentylowanie podziemnych obszarów — tak wyborne, że oddycha się wszędzie jak na powierzchni ziemi; kombinacja schodów zwykłych z mechanicznymi chroni pasażerów przed wszelkim zbędnym wysiłkiem. Jasne, że stacje uliczne i przystanki podziemne kolei urządzone są z tym samym staraniem, aby jazda Metrem była nie tylko dogodna lecz piękna i przyjemna. Ale w ocenie ich piękna ujawniła się pewna różnica upodobań, choć parę osób, z którymi o tym w Moskwie rozmawiałam, oświadczyło, że dla nich ten temat jest nieaktualny. Na ten temat ośmieliłabym się powiedzieć parę słów pod adresem naszych plastyków i architektów, którzy już może pracują nad projektami w tej dziedzinie. Metrem jeździliśmy „pod Moskwą” przeszło dwie godziny wysiadając na coraz to innych stacjach pokazywanych nam jako stare, nowe i najnowsze, ładne, takie sobie i najpiękniejsze. Każda stacja Metra moskiewskiego jest zaprojektowana przez inny zespół plastyków i architektów. Każda też jest inna i to mi się bardzo podoba, jako że nie znoszę nudy i jednostajności, przez dziwny paradoks często zakradającej się do różnych dziedzin tak skądinąd bujnego i bogatego życia nowych ustrojów. Ale najbardziej reprezentatywne stacje mniej mi się podobały, a szczyty zachwytu budziły we mnie inne, pokazywane nam tylko z obowiązkowością, albo na których w ogóle nie wysiadaliśmy podziwiając je tylko z wagonu na paraskundowych przystankach. Zaraz wyjaśnię w czym rzecz. Kolej podziemna jest najszybszą komunikacją miejską. Nie wiem, ile moskiewski robi kilometrów na minutę, ale po cięgi wlatują na przystanek co dwie minuty. Taka szybkość to świetna rzecz, tylko trudno ten ruch nazwać spokojem. Otóż wedle moich pojęć estetycznych, a także i społecznych, w przeciwnieństwie do ruchu i pośpiechu Metra, jego stacje powinny łączyć spokój. I nie tylko to. Na stacjach Metra przebywa się krótko, to są mgnięcia. Może się myśle, ale zdaje mi się, że to nie czas ani miejsce do przysłuchiwania się skomplikowanemu nagromadzeniu bogatej ornamentacji albo istniejącej wprawdzie rzeźbi. Otóż większość przystanków i hal wejściowych Metra odpowiada, czasem w najwyższym stopniu, warunkom piękna stosownym — wedle mego skromnego zdania — w danych okolicznościach. Niektóre jednak są zbyt przeladowane zawiłym nadmiarem ozdóbności, albo po prostu zbyt niespokojne, zbyt pełne osobnej niechęci, a intensywności treści. Czasami inowia o tym, co jest nad nimi na ziemi — to do brzyby obficie — ale mówią o tym zbyt obficie. Np. stacja pod Nowym Parkiem Kultury — cała w rzeźbach i płaskorzeźbach przedstawiających zabawy i sporty. Rzeźby same w sobie są śliczne — ta ziemia, tak równinna, jest krajem znakomitych rzeźbiarzy, wszystkie pomniki Moskwy, Leningradu i Kijowa, i stare i nowe są piękne, warte osobnej monografii. Ale podane na przystanku Metra w takiej ilości stwarzają drugi tłum śród tłum pasażerów,

niła się pewna różnica upodobań, choć parę osób, z którymi o tym w Moskwie rozmawiałam, oświadczyło, że dla nich ten temat jest nieaktualny. Na ten temat ośmieliłabym się powiedzieć parę słów pod adresem naszych plastyków i architektów, którzy już może pracują nad projektami w tej dziedzinie. Metrem jeździliśmy „pod Moskwą” przeszło dwie godziny wysiadając na coraz to innych stacjach pokazywanych nam jako stare, nowe i najnowsze, ładne, takie sobie i najpiękniejsze. Każda stacja Metra moskiewskiego jest zaprojektowana przez inny zespół plastyków i architektów. Każda też jest inna i to mi się bardzo podoba, jako że nie znoszę nudy i jednostajności, przez dziwny paradoks często zakradającej się do różnych dziedzin tak skądinąd bujnego i bogatego życia nowych ustrojów. Ale najbardziej reprezentatywne stacje mniej mi się podobały, a szczyty zachwytu budziły we mnie inne, pokazywane nam tylko z obowiązkowością, albo na których w ogóle nie wysiadaliśmy podziwiając je tylko z wagonu na paraskundowych przystankach. Zaraz wyjaśnię w czym rzecz. Kolej podziemna jest najszybszą komunikacją miejską. Nie wiem, ile moskiewski robi kilometrów na minutę, ale po cięgi wlatują na przystanek co dwie minuty. Taka szybkość to świetna rzecz, tylko trudno ten ruch nazwać spokojem. Otóż wedle moich pojęć estetycznych, a także i społecznych, w przeciwnieństwie do ruchu i pośpiechu Metra, jego stacje powinny łączyć spokój. I nie tylko to. Na stacjach Metra przebywa się krótko, to są mgnięcia. Może się myśle, ale zdaje mi się, że to nie czas ani miejsce do przysłuchiwania się skomplikowanemu nagromadzeniu bogatej ornamentacji albo istniejącej wprawdzie rzeźbi. Otóż większość przystanków i hal wejściowych Metra odpowiada, czasem w najwyższym stopniu, warunkom piękna stosownym — wedle mego skromnego zdania — w danych okolicznościach. Niektóre jednak są zbyt przeladowane zawiłym nadmiarem ozdóbności, albo po prostu zbyt niespokojne, zbyt pełne osobnej niechęci, a intensywności treści. Czasami inowia o tym, co jest nad nimi na ziemi — to do brzyby obficie — ale mówią o tym zbyt obficie. Np. stacja pod Nowym Parkiem Kultury — cała w rzeźbach i płaskorzeźbach przedstawiających zabawy i sporty. Rzeźby same w sobie są śliczne — ta ziemia, tak równinna, jest krajem znakomitych rzeźbiarzy, wszystkie pomniki Moskwy, Leningradu i Kijowa, i stare i nowe są piękne, warte osobnej monografii. Ale podane na przystanku Metra w takiej ilości stwarzają drugi tłum śród tłum pasażerów,

niła się pewna różnica upodobań, choć parę osób, z którymi o tym w Moskwie rozmawiałam, oświadczyło, że dla nich ten temat jest nieaktualny. Na ten temat ośmieliłabym się powiedzieć parę słów pod adresem naszych plastyków i architektów, którzy już może pracują nad projektami w tej dziedzinie. Metrem jeździliśmy „pod Moskwą” przeszło dwie godziny wysiadając na coraz to innych stacjach pokazywanych nam jako stare, nowe i najnowsze, ładne, takie sobie i najpiękniejsze. Każda stacja Metra moskiewskiego jest zaprojektowana przez inny zespół plastyków i architektów. Każda też jest inna i to mi się bardzo podoba, jako że nie znoszę nudy i jednostajności, przez dziwny paradoks często zakradającej się do różnych dziedzin tak skądinąd bujnego i bogatego życia nowych ustrojów. Ale najbardziej reprezentatywne stacje mniej mi się podobały, a szczyty zachwytu budziły we mnie inne, pokazywane nam tylko z obowiązkowością, albo na których w ogóle nie wysiadaliśmy podziwiając je tylko z wagonu na paraskundowych przystankach. Zaraz wyjaśnię w czym rzecz. Kolej podziemna jest najszybszą komunikacją miejską. Nie wiem, ile moskiewski robi kilometrów na minutę, ale po cięgi wlatują na przystanek co dwie minuty. Taka szybkość to świetna rzecz, tylko trudno ten ruch nazwać spokojem. Otóż wedle moich pojęć estetycznych, a także i społecznych, w przeciwnieństwie do ruchu i pośpiechu Metra, jego stacje powinny łączyć spokój. I nie tylko to. Na stacjach Metra przebywa się krótko, to są mgnięcia. Może się myśle, ale zdaje mi się, że to nie czas ani miejsce do przysłuchiwania się skomplikowanemu nagromadzeniu bogatej ornamentacji albo istniejącej wprawdzie rzeźbi. Otóż większość przystanków i hal wejściowych Metra odpowiada, czasem w najwyższym stopniu, warunkom piękna stosownym — wedle mego skromnego zdania — w danych okolicznościach. Niektóre jednak są zbyt przeladowane zawiłym nadmiarem ozdóbności, albo po prostu zbyt niespokojne, zbyt pełne osobnej niechęci, a intensywności treści. Czasami inowia o tym, co jest nad nimi na ziemi — to do brzyby obficie — ale mówią o tym zbyt obficie. Np. stacja pod Nowym Parkiem Kultury — cała w rzeźbach i płaskorzeźbach przedstawiających zabawy i sporty. Rzeźby same w sobie są śliczne — ta ziemia, tak równinna, jest krajem znakomitych rzeźbiarzy, wszystkie pomniki Moskwy, Leningradu i Kijowa, i stare i nowe są piękne, warte osobnej monografii. Ale podane na przystanku Metra w takiej ilości stwarzają drugi tłum śród tłum pasażerów,

I chyba tylko tacy jak my turyści mają czas i odpowiedni nastrój do kontemplowania tego bogactwa sztuki plastycznej. Pewne refleksje budzi też stacja, jedna z najnowszych, która wygląda jak z przepychem urządzona sala galowa na jakieś niezwykle uroczystości. Zużyto na nią cztery kilogramy złota, wiele ton marmurów i niezmierną ilość półszlachetnych kamieni, nie mówiąc o imponującym wysiłku nadania wszystkim szczegółom cech misternego artysty. Stacje, które mi się najbardziej podobały są też wykładane marmurami — w Związku Radzieckim wszędzie są marmury, jaspisy, malachity — ale oprócz tego są piękne. Dwie z nich szczególnie zostały mi w pamięci. Jedna biała o prostych jakby cichych kolumnach rozświetlających błogie światło z niewidocznych źródeł. I druga z przednią prostotą zdobioną szarym i różowym marmurem.

Teraz bloki mieszkaniowe. Także wrażenia raczej optyczne i zewnętrzne. Nie wchodziliśmy do żadnego z ich wnętrza. W gwałcie wycieczki turystycznej nie zawsze odrzucał się, co należałoby i chciałoby się jeszcze zobaczyć, nie zawsze też na wszystkich blokach widać było te same proste, dawno wiadome, a niesłusznie zapomniane prawdy w dyskusji pisarzy o krytyce, referowanej w „Lit-gazecie”. To samo, i więcej, mówiliśmy sobie w gawędach z pisarzami Leningradu, a zwłaszcza w żywym rozmowie z pisarzami Kijowa. Te same proste prawdy artystyczne usłyszałam na dyskusji w Sekcji Teatrów Związku Pisarzy w Moskwie, na której mogliśmy, niestety, być tylko krótko, spiesząc do starego Uniwersytetu na dyskusję z literatury polskiej. Tylko że w Moskwie nie wygłaszano tych rzeczy, ale się o nie spierało. A tam dyskutuje się ostrzej, śmiej, namiętniej niż u nas. Ludzie tam angażują się we wszystko bez reszty, nie zostawiają sobie żadnych furtki ani kłap bezpieczeństwa; nawet gdy popełniają błędy, to ryzykują na całego. Wiele rzeczy się na to składa. Ale sprzyja temu na pewno i świetne poczucie rozporządzania prawem czy przez pałós dziełom uzyskanym „przywilejem” inicjatywy; wieczne oglądanie się lekliwie na cudzą zawsze prowadzi do pewnej zdawkowości i niebezpiecznego zubożeni. Idzie mi jednak o co innego. Nie zdążyliśmy rozejrzeć się bliżej w życiu literackim i artystycznym Związku Radzieckiego. Ale i to nie wiele mówiło nam, że zanosi się tam na pomyślny etap rozwoju w tych dziedzinach, upragniony także i w Polsce. Uprawniwszy się z ustano-

kniciu miejskich mieszkań. U nas (mówię o Warszawie tylko) bloki mieszkalne (z wyjątkiem MDM) są na ogół jednostajne, płaskie, ubogie, po prostu — postne. Okazuje się, że w prostocie można także przesadzić.

Z podziemi Metra i z wnętrza pysznych samochodów „Inturistu” wzbijamy się w powietrze. W samolocie niosącym nas do Kijowa przeżywałam „Prawdę” z artykułem W. Czerkasowa o sztuce teatralnej. Po tem wróciwszy do kraju znalazłam w „Nowej Kulturze” omówienie tego artykułu z cytowaniem jego myśli takich jak: „Sama idea — choćby nawet najważniejsza — sama myśl — choćby najbardziej aktualna — nie czyni jeszcze dzieła sztuki”; „Teatr powinien mieć większą samodzielność przy rozwiązywaniu twórczych i organizacyjnych problemów swojej pracy”; „Niedobrze jest jeżeli zwykły życia przekształca biurokratyczną opieką” itp. Proste prawdy odnoszące się także do innych rodzajów literatury i zawsze przytomne każdemu rzeczywistemu pisarzowi, choć nie zawsze dotąd dawał im wyraz. W czasie pobytu w Leningradzie przeżywałam takie same proste, dawno wiadome, a niesłusznie zapomniane prawdy w dyskusji pisarzy o krytyce, referowanej w „Lit-gazecie”. To samo, i więcej, mówiliśmy sobie w gawędach z pisarzami Leningradu, a zwłaszcza w żywym rozmowie z pisarzami Kijowa. Te same proste prawdy artystyczne usłyszałam na dyskusji w Sekcji Teatrów Związku Pisarzy w Moskwie, na której mogliśmy, niestety, być tylko krótko, spiesząc do starego Uniwersytetu na dyskusję z literatury polskiej. Tylko że w Moskwie nie wygłaszano tych rzeczy, ale się o nie spierało. A tam dyskutuje się ostrzej, śmiej, namiętniej niż u nas. Ludzie tam angażują się we wszystko bez reszty, nie zostawiają sobie żadnych furtki ani kłap bezpieczeństwa; nawet gdy popełniają błędy, to ryzykują na całego. Wiele rzeczy się na to składa. Ale sprzyja temu na pewno i świetne poczucie rozporządzania prawem czy przez pałós dziełom uzyskanym „przywilejem” inicjatywy; wieczne oglądanie się lekliwie na cudzą zawsze prowadzi do pewnej zdawkowości i niebezpiecznego zubożeni. Idzie mi jednak o co innego. Nie zdążyliśmy rozejrzeć się bliżej w życiu literackim i artystycznym Związku Radzieckiego. Ale i to nie wiele mówiło nam, że zanosi się tam na pomyślny etap rozwoju w tych dziedzinach, upragniony także i w Polsce. Uprawniwszy się z ustano-

(Dokończenie na str. 5)

## JERZY JANICKI BRACIA

Pelagii G. Kornienko, kolchoz im. Molotowa w Rozdolju, rej. Czernihowski

Kiedy się do syta napatrzyłem na ogrom sali Kongresu w Pałacu Kultury i Nauki i w wyobraźni ujrzałem w półkolistych murach cegieł — prześwietne łoża, w wyrąbanej w cementie dźrzazie — zejście do foyer, w betonowym przepastnym rowie — ruchomą scenę z zapadnią, w zawałonej wapnem i żelastwem podłodze — widownię na 3.700 miejsc, przyszedł czas na rozmowę, na którą od dawna już miałem chotę — z Kornienko Tarasem Dmitrijewiczem.

Nad głową wisiaty, jak odarty z płótna parasol, pierścień stalowej kopuły. Ten wielki, szary pajak już oparł się dzięki ludziom i dźwięgom na okrągłych murach sali. To szkielet kopuły przykrywającej wnętrze największej w Polsce i drugiej w Europie sali przeznaczonej na zjazdy, kongresy i obchody. Ustawienie poszczególnych zebrań tej kopuły było prawdziwym majstersztykiem montażu i nie dziwnego, że przetruciono tu z części wysokościowej głośnie już u nas brygadę montażową — Aleksandra Gawryszę.

W ślad za montażyzami postępują ciele; przygotowują szalunki, rusztowania. W dolnych rejonach sali, w tym mniej więcej miejscu, gdzie stanie 60-osobowa łoża korpusu dyplomatycznego, stawia schody brygada cisielska Tarasa Kornienko.

Siedliśmy sobie obaj okrakiem na desce; Taras zaczął mówić pierwszy i od razu poznałem, że jest Ukraincem; „harmonii” powiedział i w ogóle „g” mu przez krtań nie przeszło, urodził się w „seli” Rozdolje. Miał czarne jak kruk włosy, niewielki kosmyczek spadał mu na czoło jak Majakowskiemu, brwi uformowały się w jeden

szeroki łuk, a kiedy mówił o swoim Rozdolju na Zaporozżu, to w podługich, głębokich oczach taki miał wyraz, że prawie widział się tę Ukrainę cudowną, i ten step biały i pachnący od przekwitłego piotunu, i Dniepr-rzekę, nad którą tak gęsto „wisnie” zakwitła biała, że się im Janowi Skrzetuskiemu przywidziało jakoby śnieg zobaczył.

Taras sam zaczął swoją opowieść i nie musiałem zadawać ani pytań, ani żądać wyjaśnień, tak wzruszająca to była historia. I zawierała tak olbrzymi sens polityczny, że gdybym do tego reportażu szukał innej pointy, byłaby to wprost zbrodnia wobec czystości wielkiej prawdy tego zdarzenia.

Chodzi zaś o to, że miał Taras Dmitrijewicz Kornienko brata — Wasyla.

2. Ścisłej mówiąc — było ich w domu kolchoźnika Dmitrija Kornienko sześciu: najstarszy Wasyl, on — Taras, Iwan, Pa el. Eorys i Maruska. Żyli sobie spokojnie i dobrze, szczęśliwie i dostatnio. Rozdolje były wioską niedużą, wprost malutką — wszystkich osiemdziesiąt numerów. Był również kolchoz im. „Kominternu” i odkąd tylko sięga pamięć Tarasa Rozdolje rywalizowało z sąsiadnym Szerokim Jarem. Bywało, na wiosnę po śniegach, wyjdzie na placik koło Sielsowietu brodaty Fadij z uwieszonym na brzuchu bębniem z koziej skóry, a za nim oczywiście — chmara dzieciaków. I ledwo Fadij dotknie palcem bębna — już z ganków wysypują się ludzie. Kiedy etap współzawodnictwa wygrał Szeroki Jar, Fadij odczytywał wyniki cicho jakoby, leniwie, słowa wybiegały ospale i kby gubiły się w jego kudłatym brodzie. Kiedy zwycięstwo przypadło Rozdolju, Fadij grzmiał na placu jak herold, akcentował wyraźnie wszystkie procenty i wszystkich przodowników.

Koła tego placu była również szkoła, komenda straży ogniowej i park, w którym Tarasowi udało się nieraz rozgromić Koltzaka i Denikina, na ten czas przedzierzgniętych w drzewa i krzaki.

Ojciec Kornienko był w całym Rozdolju poważanym koł. oźnikiem; w domu na jednej ścianie powiesił Stalina zapalającego fajkę, na drugiej — Szewczenkę, którego głęboko szanował; umiał na pamięć „...a kiedy umrę” i drugiemu synowi nadal imię poety — Taras. Ze zdaniem Kornienki bardzo się w kolchozie liczone, czy to w sprawach orki, czy innych gospodarskich zajęć. Przewodniczący Sielsowietu, star. Filip Kocur zachodził często do domu Kornienków; siadali z Dmitrijem na ganku i półgłosem rozprawiali o losach swojej wioski. Przynosił wtedy dzieciom z kooperatywy pierniczki i wręczał każdemu po kole, a tylko Wasylowi nie dawał; kładł mu dłoń na ramieniu i surowo pytał: — No i czymże to, towarzyszu, zamierzamy zostać?

Wasyl odpowiadał niezmownie: — Myśle do szkoły morskiej, Filipie Gadajczu.

Ale do szkoły morskiej był jeszcze za młody, wysłano więc na razie Wasyla do szkoły rzemieślniczej do Wielkiego Tokmarku.

W 1939 roku miał Wasyl 15 lat, Taras zaś osiem i dopiero zaczął nosić czerwony krawat. Odtąd największymi świętami w domu Kornienków stały się odwiedziny Wasyla. Pelagia Guriwna gotowała na przyjazd syna najsmaczniejsze pierogi, a Taras z Iwanem i Pawłem spędzali długie godziny na polu na wprost stacji wpatrując pociąg.

Pierwszy prezent od Wasyla to był metalowy młoteczek, który Taras zaniósł natychmiast do szkoły. Przywoził również Wasyl kolorowe projekty fabryki samochodów: zielone „Gaziki”, poważne, długie „Zisy”. Wańka Baliwski i Wasia Sereba namawiali Tarasa, aby poprosił brata o „odrobienie” dla nich w Tokmarku którejś z tych maszyn.

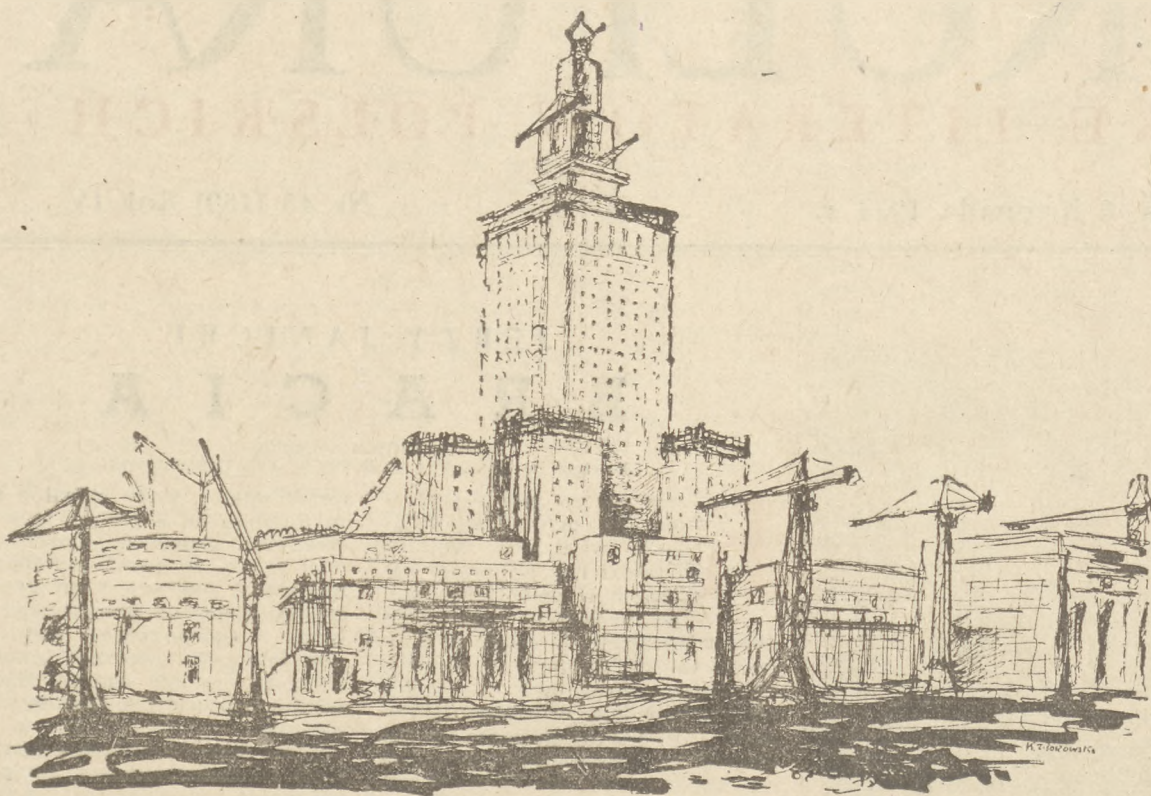
Wasyl wrócił ze szkoły słuszerem całą gębą i od razu zaangażowano go do warsztatów straży pożarnej. Dobrze mu się tam pracowało i wesoło, bo razem ze starymi przyjaciółmi, a zwłaszcza z Pietią Zubem, który był w straży sekretarzem komсомolskiej komórki. Do zabudowań straży należała wysoka drewniana wieża, na której stał któryś z komсомolców przybrany w złoty kask wypatrywał ogni w okolicy. Szczytem marzeń Tarasa było wdrapanie się na tę wieżę, z której, jeśli dobrze wzrok wyteżysz, to i drugi kraniec Szerokiego Jaru dojrzysz.

Filip Kocur chwalił teraz Dmitrija, że tak syna wychował, że

(Dokończenie na str. 2).



## Szkoła a tzw. „czynniki społeczne“



Rys. K. Zborowski

(Dokończenie ze str. 1)

komsomolec z niego sławny, i co-raz to częściej wypytują już z kole- Tarasa:

— No i czymże to, towarzyszu, za- mierzamy zostać?  
— Podróżnikiem obowiązkowo, Filipie Genadjicu.

— Jakże to — podróżnikiem? — śmiał się przewodniczący i głaskał Tarasa po czarnej głowie, tak o- strzyżonej dziwnie, że przypomi- nała nierównie skoszone rżysko.

— No podróżnikiem — dziwił się Taras niedomyślności Kocura — żeby Baku zobaczyć, Syberię, Krym, Donbas.

— A to bratku wybieraj! — roz- kładał ręce Filip Genadjic — zo- stań górnikiem, wtedy będziesz miał Donbas, zostań nauczycielem — masz Baku.

Taras odchodził z tych rozmów zakłopotany; przecie po dziesięciu latach przekonał przewodniczącego Sielsowietu, że z fachem, który po- siadał, we wszystkich tych miastach był przydatny.

Ale tymczasem wybuchła wojna; lato było upalne i zielone nad po- dziw. Wasył przyszedł do komendy; na głowie miał kask, a pod brodą czerwony krawat. O dwunastej ze- brało się na placu całe Rozdółje, a i ludzie z Szerokiego Jaru przy- wlekli się posłuchać. Głównik umo- cowany na wysokim słupie, nad ich głowami, nadawał oświadczenie Molotowa.

Starszyzna stała w milczeniu; Dmitrij Kornienko wracał do do- mu powoli, w zamyśleniu gładząc siwiejącą brodkę. Potem czas jakiś sam na sam rozmawiał z Wasylem. Pelagia Gurielowa z placem pako- wała mezbliki kuferek; karty powo- łania nie dostał, sędzi sam bronił Ojczyznę.

Na jesień szyb w Rozdółju roz- jeżdżały się żołnierze. Ziemia dudni- ła ciężko, jakby się pod jej skorup- ą roztrzęsła wulkan. Na placu stał zielony ZIS, a osmolony szofer ucieszony budki, ponaśl Filipa Genadjica Kocura. Wyno- szono książki, papiery; Sielsowiet ewakuował się... Na ulicy było żół- to od liści, kasztany wały się be- zczynnie; nikt nie miał głowy ba-wić się nimi. Pelagia Gurielowa a- patycznie popatrywała na Wasyla gotującego się do drogi. Dopiero kiedy za oknem zagwizdał Pietia Zub i niezwykłe podniecone dawał Wasylowi z aki do wyjścia, matka nie wytrzymała; z placem rzuciła się na syna. „Wasyluska, dokądże ty złoto, po co, po co?“ Wasyl uścił matkę, ucałował wszyst- kich po kolei.

— Przecież nie to tanie, aby mnie faszyści po kawaleczku krajałi.

Wyskoczył przed dom, objął z Zu- bem wdrapali się na ZIS-a. Szo-

fer dodał gazu, zakurzyło się tylko po gościecu.

— Uwóż Taras na mamę! — krzyknął jeszcze Wasyl — I na dzieci uważaj!

Więcej Wasyla nie widzieli.

3.

Hitlerowcy spalili Rozdółje do szczeru, szkołę pucili z dymem za- raz pierwszego dnia, drzewami z parku palili pod połową kuchnią.

We wrześniu 1943 roku, kiedy Ar- mia Radziecka wyzwoliła Rozdółje, ludzie całowali gąsienie czołgów i krasnoarmiejców.

W jakiś czas potem powrócił i Filip Kocur, zamieszkał w drewn- ianym baracku; była już więc napowrót władza radziecka. A choć przewodniczący powrócił do Roz- dółja późno w noc, Pelagia Guriel- wa wybrała się go przywitać: co z Wasylem? Przecież wyjeżdżali ra- zem?

Kocur nie był sam, rozmawiał z Zubową, równie niespokojną o swego Pietkę. Coś niecoś Filip Ge- nadjic wiedział o chłopcach.

Byli mianowicie razem w Rostow- nie nad Donem. Tam obaj: i Piotr, i Wasyl postanowili iść do armii. Mieli po siedemnaście lat, poszli więc na ochotnika. Obiecali do przewodniczącego napisać, ale do jakich trafili formacji, na jakie rzucono ich fronty?... Jedno było wiadomo, że trafili do oddzielnych jednostek, bo Wasyl wyjechał z Ros- towa pierwszy.

W rok później Zubowie otrzymali zawiadomienie, że Piotr Łukicz Zub poległ na froncie białoruskim wy- pędzając faszystów ze swej Ojczy- zny.

O Wasylu wciąż brak było wia- domości.

Pelagia Gurielowa owijała się szczerze w szal i wychodziła wie- czorami z domu: mówiła dzieciom, że idzie do sąsiadów. Taras jednak podpatrzył matkę — zachodziła do przewodniczącego.

— Zilitujcie się Filipie Genadjicu, przypomnijcie sobie dobrze w jakiej formacji był Wasyl? W pie- chocie, w artylerii? Piszę wciąż o niego, ale nie poza imieniem i na- zwiskiem nie mogę podać. Przypo- mnijcie sobie!

— Zabijcie, nie wiem! No, nie wiem. Powiadał: wracajcie, towa- rzyszu przewodniczący, do kolcho- zu. Już ja wam z Berlina, powi- dał, coś na pamiętkę przywieź.

Więcej nie wiem.

Nadszedł wreszcie dzień, kiedy na Reichstag wdrapał się radziecki sierżant i wetknął tam czerwony sztandar. Nie zliczyliby, ile razy tego dnia w Rozdółju padło słowo — pokój.

Już zresztą wieść pracowała dla pokoju; raz na zawsze zrezygnowa- no z rywalizacji z Szerokim Ja- rem: utworzono wspólny kolchoz, któremu nadano imię Molotowa. Odbudowano spalone domy, posta- wiono nową szkołę, do której z ro- dziny Kornienków wyprawiono Borysa... Borys poszedł do szkoły — jakżeś ten czas leci! Przecież Boria miał jeden rok, kiedy Wasyl wyjechał z Rozdółja.

Wszystkie daty i zdarzenia mat- ka liczyła od dnia wyjazdu syna. A o Wasylu wciąż nic nie było wia- domo.

Oto w końcu nadeszła drukowana kartka: Wasyl Dmitrijewicz Kornienko zaginął bez wieści. Ojciec również nie wrócił.

W 47 roku Taras pojechał do Za- poroża do szkoły zawodowej. Kocur przyszedł go pożegnać.

— A wstyd tam Rozdółju nie przynieść... Eh ty... podróżniku! — dodał po chwili coś sobie przypomi- nawszy.

Po siedmiu miesiącach był już Taras cieślą; pierwszy swój budo- wany chrzest przeszedł w B ku, gdzie budował osiedle dla robotni- ków przemysłu naftowego. Potem podobne osiedle postawił donba- skim górnikom. Pojechał już jako brigadzysta z ekipą budowniczych.

Ural. Zawszą przysłał listy do domu, a nie zapominał również i o przewodniczącym.

Filip Genadjic chował te kartki u siebie, w urzędowej szufladzie. Aż pewnego razu zdumiał się o- gromnie: przysłała do niego kartka z Krymu. To Taras odpoczął w So- czi po budowlanych trudach.

— Oto — tłumaczył potem prze- wodniczący kierownikowi szko- ły — oto jak u nas ludzie radzie- cy dobijają się swoich marzeń. Ta- ras Kornienko, nie wiem czy pa- mięcie...? Zobaczcie tylko stem- ple na tych kartach! Cały Związek zjeżdżał, chwatał, jeszcze nie daj Bóg, za granicę go wyniesie...!

W jakąś godzinę wypowiedział te słowa przewodniczący Sielsowie- tu? Patrzcie, na budowie 28-mio- piętrowego wysokościowca na placu Smoleńskim w Moskwie wytypo- wano sześciu najlepszych fachow- ców na wyjazd do Warszawy. Mie- li tam budować Pałac Kultury i Nauki. I któż to był wśród tych sześciu? Taras Dmitrijewicz Kornienko.

W Jelonkach Taras postawił ca- łe osiedle, potem jako brigadzysta stanął na budowie sali kongreso- wej Pałacu. Tak zawsze zazdrościł Wasylowi strażackiej wieży; miał teraz własną — trzydziestodwu- piętrową.

...Taaaak, a więc dobrnęliśmy wreszcie do dnia, w którym po- znałem Tarasa.

— No i jakże tu robota?

Ale na to Taras nie daje odpo- wiedz. O swojej wsi, o bracie, o życiu w Rozdółju mógł opowiadać nie pytany: nie jego zasługa. A je- go robota?

— Jakoś o swojej robocie niepo- ręcznie samemu — powiada — p r o r a b a spytajcie, inżynierów.

I na to oczywiście przyszła po- ra, ale i odpowiedź znalazła się sama; tuż zaraz. Wśród fotografii przodujących na Pałacu robotni- ków jest w pierwszym rzędzie zdjęcie Tarasa. Stoi ta gablotka na tym samym nieotynkowanym kory- tarzku, w którym rozmawiamy. A obok czerwona tablica z wynika- mi współzawodnictwa: brigada cie- sielska T. Kornienki — 211 pro- cent normy.

Notuję to wszystko w notesie, ale Taras chce mówić dalej: opowiada- nie jeszcze nie skończono.

— 11 października wyjechała grupa budowniczych na spotkanie z mieszkańcami Poznania. Gorą- cich tam powitano, z kwiatami, z orkiestrą. Zwiędziało miasto, które im bardzo przypadło do gustu, fa- bryki. Wreszcie udali się na cmen- tarz żołnierzy radzieckich, aby zło- żyć wieńce i kwiaty.

Ileż tam czerwonych mogił! Ileż młodych ludzi radzieckich oddało życie za wolność tego pięknego, polskiego miasta! Rozeszli się bu- downiczo w polne pola, do cmentar- nych drózek i alejek.

W milczeniu żegnali się z roda- kami, którzy zostali na polskiej zie- mi, przyniosłszy jej wolność. I aby nie przerywać tego milczenia, mu- rarz Chazimow pociągnął tylko Ta- rasa za rękaw kurtki.

— Patrz.

Taras skierował wzrok na mie- scie, w które patrzył murarz. Na metalowej tabliczce był napis:

WASYL DMITRIJEWICZ  
KORNIENKO  
Krasnoarmiejec  
ur. 1924 r., zginął w walkach  
o wyzwolenie Poznania 13.II.1945 r.

4.

Opowiadano mi, że Taras, „choć u niego w tworo- dyj charakter“, długo pla- kał w mieście, w którym po dwu- nastu latach spotkał brata Wasyla.

I teraz już nie był skłonny do dalszych wynurzeń. Podnieśliśmy się z naszej deski. Wepchnąłem no- tes do kieszeni. O czym myślał w tej chwili Taras? O matce, o Roz- dółju, może o Filipie Kocurze, któ- remu Wasyl obiecał przywieźć z Berlina pamiętkę?

Nagle przerywając milczenie spy- tał:

— Przecież do Berlina z Poznania to już całkiem blisko będzie?

— Zupełnie — odpowiedziałem — ze dwieście kilometrów.

Już wiedziałem o czym myśli ten młody Ukrainiec.

— Stolicę macie piękną — po- wiedział nieoczekiwanie. — A i Pałac niedługo wam skończymy.

Podał mi szybko rękę i odszedł do swojej brigady.

Jerzy Janicki.

W dyskusji, która toczy się na łamach „No- wej Kultury“ jest stanowczo za mało głosów samych nauczycieli, zwłaszcza

zaś — nauczycieli terenowych.

Mam właśnie przed sobą garść nauczycielskich wypowiedzi. Do- brze się składa, gdyż pisali je prze- ważnie poloniści ze szkół wiejskich, leżących nieraz bardzo daleko od wielkich miast, w „zapadłych“ wio- skach, ale przecież i tam — łakną ludzie dobrej literatury. Warto się w te wypowiedzi uważnie zaczy- tać, warto je gruntownie przemy- ślić, wnoszą one bowiem do dy- skusji wiele nowego.

Nie obejdzie się w czasie czyta- nia bez szczególnego rodzaju wzru- szeń. Pod piórem młodego nauczy- ciela, który jeszcze rok temu za- siadał na ławie liceum pedago- gicznego, ożywa obraz przemian kulturalno — politycznych wsi pol- skiej. Uruchomienie świetlicy, sukcesy na odcinku upowszechnienia czytelnictwa, zorganizowanie nowo- go zespołu artystycznego, jeszcze jeden udany wieczór poezji, kon- trola finansów w spółdzielni pro- dukcyjnej i GS-ie, poradnictwo prawne, lekarskie, weterynaryjne, nieustanna agitacja za uprawą ro- ślin przemysłowych — oto zwykły rejestr prac społecznych naszego terenowego nauczyciela. Przy odro- binie wyobraźni — widzimy jesień- nie szarugi i rozmołke drogi, któ- rymi może dziś właśnie wędruje on niestrudzenie na jeszcze jedno zebranie.

Prace społeczne nauczyciela w terenie! Toż to cała i wciąż jesz- cze nienapisana książka, pełna bo- haterstwa i ofiarności, książka o czołowym aktywiście. A ileż to funkcji pełni przeciętny nauczyciel? Józef Jarmuła z gromady Padwia (pow. Mielec) wymienia ich — 8, Lunarzewski z osady robotniczo- chłopskiej Radlin — 11. A każda z nich wymagałaby, na dobrą sprawę, jednego, specjalnie przygo- towanego człowieka!

Nie chodzi rzecz prosta o mecha- niczne wyliczanie rozlicznych prac nauczyciela w jakieś gromadzie, lecz o wnioski.

Otóż przypominam sobie takie zdarzenie z przed roku. Wypyty- wałem chłopów o nauczyciela.

— Gdzie mieszka Molendys?

— Molendys? Ten od rachunko- wości?

— Ee, gdzie tam od rachunko- wości, toć to weteryniarz!

— Nie kręć człowiekowi w głow- ie, o bibliotekarza chodzi!

A więc Molendys jest wszystkim, tylko nie... n a u c z y c i e l e m. „Oczywiście — powtarza- jąc za Sienkiewiczem — skutkiem tych rzeczy moralność i obowiązki nauczycielskie tyle tracą, ile dia- beł zyskuje“.

Jarmuła pisze, że zarówno on sam, jak i jego koledzy ze smut- kiem spoglądają na stopy szkolnych wypracowań, nigdy na czas nie przejranych, poprawianych nieu- ważnie, „na chybićka“. A już wprost dramatycznie przeżywają smutny fakt nienadążania za szyb- kim postępem nauki w poszczególnych dziedzinach.

„Ostatecznie nie agronom i nie bibliotekarz, ale właśnie my odpowiadamy przed państwem za po- stępy młodzieży w nauce — stwier- dza Zofia Talik, nauczycielka z Mi- łówki, pow. Żywiec. — Trzeba do- brze sobie zdawać z tego sprawę, iż zła, niedostatecznie przygotowa- ną szkoła podstawowa może spo- wodować, że zdolne chłopie dziecko nie przejdzie szkoły śro- dniej, nie zobaczy nigdy sali semi- naryjnej na wyższej uczelni. Jak najlepsze wyniki nauczania, najpe- nijsze rezultaty wychowawcze — to nasze pierwsze, przed innymi, bojowe zadanie“.

Ot i cały problem. Nie nowy wprowadzić, ale też wciąż tylko gdzieś tam rozwiązać. Prze- ciążony pracą społeczną nauczyciel — ile wykonuje swoją pracę w szkole. Dokształca się nieregular- nie, „po łebkach“, mało czyta, choć książek w gminnej i szkolnej bi- bliotece przybywa, rokrocznie re- produkuje ten sam, kurczący się raczej niż poszerzający, zapasik wiedzy, zdobyty lat temu albo kil- ka, albo i... kilkanaście.

Powiecie (być może): Dyskutuje- my problem nauczania literatury, a więc mówimy o szkole średniej, nie zaś podstawowej. Do gruntu niestudne stanowisko. Nasz nau- czyciel, pracujący za rogatkami wielkich miast wybiega w walce o powszechne czytelnictwo o daleko po- za swoją szkołę, popularyzuje ksią- żkę, zabiega o należyte jej rozu- mienie — bezpośrednio w masach chłopskich. Przez długie jeszcze la- ta nie da się oddzielić pracy szkoły od biblioteki. Setki tysięcy czytel- ników, i ci, którzy poraz pierwszy w życiu biorą książkę do ręki, i ci bardziej doświadczeni czytelnicy — zwracają się nieustannie do nau- czyciela po pomoc. Brak należyte- go rozumienia wychowawczej roli książki, przynosi to stokrót więcej zła, niż się to dzieje w wypadku omawianych w dyskusji liceali- stów. Sam rozmawiałem z chłopami, którzy w ten sposób komentowali „Cichy Don“, jakoby zwycięstwo rewolucji oznaczało koniec pię- knych tradycji kulturalno — oby- czajowych koczowniczych. W praktyce komentarz ten sprowadzał się do

oporu przeciw spółdzielni produk- cyjnej.

Zasadnicze trudności w pracy nauczyciela nad upowszechnieniem literatury pięknej nie dadzą się sprowadzić jedynie do braku od- powiednich komentarzy, podręczni- ków, czy recenzji. Wynikają one również z trudnej, społecznie uwa- runkowanej sytuacji, w jakiej zna- lazła się niemała część naszych nauczycieli. Sytuacja ta nie jest bez wyjścia. Wyjście oczywiście ist- nieje. Odkryła je Zofia Talik i jej towarzysze pracy.

„Kiedy nie było u nas przodowni- ków sanitarnych, to my — nauczy- cielem, zastępowaliśmy ich, a pew- no jeszcze i dzisiaj w niejednej gromadzie tak, jak było u nas niegdyś tam i dziś jest nadal. Ale pro- downicy higieny pojawiają się co- raz częściej na wsi, podobnie jak kwalifikowani agronomowie. Nam wypada dziś wyższa rola — o r g a n i z a t o r ó w i k o n t r o l e r ó w“.

Wyzwalanie zatem czasu, nie- zbędne potrzebnego nauczycielowi dla celów samokształcenia, pogłę- bienia wiedzy o literaturze zwią- zane jest ze wzrostem kadr w tere- nie. Ale rzecz w tym właśnie, że ten wzrost powinien nauczyciel p r z y s p i e s z a ć, wychować przodującego „polykacza książek“ na kierownika zespołu dobrego czy- tania, widzieć w najdolniejszych „wychowankach redaktorów gazetek szkolnych, słynnych „Byskawie“, dostrzec w Kole Gospodyń — przy- szłe przodownice zdrowia.

Nauczyciele z Miłówki taki ak- tyw wychowali i dziś tylko go kon- trolują, dopomagają mu. Mogli te- dy spokojnie zatrabiać na powrót do... szkoły, rozpocząć walkę o pod- wyższenie kwalifikacji. A podwyż- szenie kwalifikacji — jakież przyno- si społeczne korzyści? Wygląda to — być może — na paradoks, ale praktyka mówi, że „powrót“ nau- czyciela do szkoły oznacza nie co innego, jak s i l n i e j s z e o d d z i a ł y w a n i e s z k o ł y n a s r o d o w i s k o. Kie- dy się bowiem nauczyciele z Mi- łówki — Kąkol i Weterowa dobrze w literaturze oczytały, sięgnęły do pism społeczno — literackich, pod- nieśli nie tylko poziom nauczania, ale równocześnie wzmożły ofensy- wę kulturalną na gminie.

Miłowka znana jest dziś w oko- licy z przodującego kina. Tam wła- śnie widzowie przedyskutowali pu- blicznie „Kawalera złotej gwiazdy“, „Młoda gwardia“, „Noce i dni“ i wiele innych filmów opartych na książkach. Miłowka bierze również udział w dorocznym Konkursie Czy- telników Bibliotek Wiejskich, a niektórych wypowiedzi chłopskich o książkach można by życzyć zawo- dowym krytykom.

„Nie taka to prosta sprawa — mieć przed sobą 85 dzieciaków — czytamy w wypowiedzi Romana Szczepienia z Bojanowa, pow. Ni- sko — nie zawsze domytnych, bo- szych latem, opatulonych zimą w matczyne chusty i widzieć w nich n a j m ł o d s z y c h a k t y w i s t ó w, g r u p ę d z i a ł a c z y“.

Prosta to sprawa nie jest, a jed- nad „dzieci“ Szczepienia — to czo- łowi aktywiści gminy! Gdy wieczo- rem błysną w domach światła, rozpo- czynają w kręgu rodzinnym czyta- nie wartościowych książek, zgodnie z planem opracowanym w szkole. Toczą się tam nieraz do późnych

godzin zawzięte dyskusje, w któ- rych ojciec przeciwstawia się mat- ce, a córka umiejętnie przemycia elementy naukowego poglądu na świat.

Elektryfikacja gromady, powsta- nie stałego kina, zespołu artystycz- nego i Komitetu Założeń artystycz- no — o to bilans dotychczasowej działal- ności najmłodszych aktywistów. „W tego rodzaju działalności — kończy Szczepień — widać istotną rolę nie pojedynczego nauczyciela, ale całej szkoły“.

Jest wszakże i inny aspekt tej samej sprawy. Henryk Szulc z gro- mady Majdan, pow. Kolbuszowa zauważa, że „czynniki społeczne nie doceniają pracy nauczyciela w szkole, ale oceniają go jedynie za pracę społeczną. Jest to fałszywy pogląd“.

Rozważmy pokrótce sytuację szkoły w Majdanie. Ma ona opinię przodującej. A równocześnie Szulc ze smutkiem stwierdza, że poziom nauczania w ostatnim roku znacz- nie się obniżył. „Dziś mamy 24 procent uczniów z notami niedo- statecznymi, podczas gdy zeszłego roku 1952-53 mieliśmy ich tylko 16 procent“.

Skądże ta sprzeczność? Tak na- prawdę — to sprzeczności tu nie ma. Do rangi przodującej zaawan- sowały szkołę głównie „czynniki społeczne“ — GRN, Z"Ch, GS, a także i partie polityczne. Stało się tak dlatego, że nauczyciele urzą- dzali wszystkie obchody, rocznice, akademie, zorganizowali subskrypcję Pożyczki Narodowej — ba — towa- rzyszili nawet narodzinom niejed- nego cielęcia. Otrzymali za to piękną laurkę od aktywów zawodowe- go, który się nimi po części — w y r ę c z y ł.

Szule wciąga z sytuacji wnio- sek, aby tzw. czynniki zmieniły sto- sunek do nauczycieli wiejskich. O- czywista nie idzie tu o wyizolowa- nie szkoły z kontekstu spraw gro- mady. Szkoła ma jednak swoje specyficzne więzi z problematyką życia społecznego środowiska. Któż chciałby zrezygnować z oddziaływa- nia młodzieży na rodziców, by sprawnie wykonywali obowiązki wobec państwa? Któż chciałby odebrać młodzieży funkcję księ„onoszy, czy lektorów, czytających rodzicom w długie jesienne wieczory wartościow- e książki? Nikt także nie zaprze- czy pracy nauczyciela, który po- przez miczurinowski ogród szkolny upowszechnia nowe, naukow- e m e t o d y upraw, nowe układa p i g r a m zajęć dla świetlicy, czy wygłasza odczyt przeciw zabobonom.

Chodzi o to, aby terenowe orga- na władzy, cały aktyw społeczny zdali sobie z tego sprawę, że nau- czyciel to nie jest, jak powiadają Niemcy — „dziewczyńka do wszyst- kiego“, nie szeregowy „ktywista społeczny, którego można ostatecz- nie użyć do k a z d e j r o b o t y, ale w pewnym sensie — oficer, o d p o w i a d a j a c y p r z e d e w s z y s t k i m z a s z k o ł ę i g ł o w n i e n a j e j g r u n- cie oceniający.“

Właściwe ustawienie nauczycie- ła w hierarchii terenowego akty- wu, pełne zrozumienie jego wiel- kiej odpowiedzialności za wycho- wanie młodego pokolenia w szko- le, niewątpliwie przyczyni się do „wyzwolenia czasu“, konieczne- go dla dobrobytu nauczyciela w wiedzę o książce i... przeczytania jej.

Wiesław Jazdżyński

## SPRAWY WYDAWNICZE

## Pisarz i redaktor

Jeden z radzieckich pisarzy kiedyś w rozmowie określił redaktora wydawnictwa ja- ko przyjaciela i pomocnika w pra- cy pisarza. Tak jak przyjaciół, dobiera sobie pisarz redaktora — jeden woli zwrócić się do wy- dawnictwa, gdzie redaktor lu- krzyje uwagi krytyczne pochleb- stwem, drugi wybiera redaktora walącego swoją ocenę prosto z mostu. Ale jedno jest niezbęd- ne: redaktor musi pozyskać so- bie nie tylko zaufanie autora, ale jego przyjaźń. Autor musi nie tylko mieć pewność, że re- daktor posiada odpowiednie kwalifikacje krytyki literackie- go, ale musi być przeświadczo- ny o jego życzliwości i uznaniu dla pracy pisarza, dobrej woli i gotowości do najwięcej wysi- łków, by pomóc autorowi wła- snym i kolektywnym osądem książką.

Mamy wiele przykładów har- monijnej, owocnej współpracy autora z jego pierwszym czytel- nikiem i krytykiem, choć nie- rzadkie są wypadki tarć i kon- fliktów, wzgardliwego stosunku pisarza do „poprawiaczy“ i „be- sserwisserów“, czy też dyktan- ckiego buszowania po maszyno- pisie, prób zastępowania autora ze strony redaktora.

Redaktor reprezentuje wy- dawnictwo, realizuje politykę wydawniczą ustalając hierar- chię potrzeb, zasadniczy kieru- nek zainteresowań wydawnic- twa. Poności on pełną odpowie- dzialność za najszerszą pojętą obronę interesów czytelnika przed grafomanstwem, ignoran-

cją, wstecnictwem. Przy oso- bistej odpowiedzialności redaktor zobowiązany jest jednak do kolektywnych form pracy, dostar- czania autorowi opinii rzecz- znawców, czytelników, fachow- ców rzetelnej naukowej kontro- li poprawności językowej, reali- ow i f a k t ó w historycznych. Nasz redaktor często jeszcze nie- dostatecznie zdaje sobie sprawę z powagi podejmowanych decy- zji, zwłaszcza negatywnych, czę- sto osąd jest nazbyt subiektywny. Stąd ogólna dążność do za- pobiegania monopolowi poszcze- gólnych wydawnictw. W naszej praktyce wydawniczej staramy się, by autor miał możliwość zwracania się do szeregu wy- dawnictw, nie mówiąc już o czasopiśmie i prasie, tak by uniknąć przesądzenia losu ma- szynopisu przez jeden tylko ze- spół redakcyjny, czasem jedno- go redaktora.

A uprawnienia autora? Prawo autorskie jednoznacznie określa, że pisarz jest jedynym gospodar- zem swego dzieła, nikt nie ma prawa niczego zmieniać w ma- szynopisie bez jego zgody. Nasi wydawcy ostro zwalczają każde naruszenie tej zasady. Ochrona praw pisarza do jego dzieła, troska o uzgodnienie z pisarzem najmniejszej nawet — jakby się zdawało — poprawki interpunk- cji czy pisowni — to podstawo- wy obowiązek redaktora, pierw- szni warunek niezbędnej przyja- żni autora ze skromnym edyto- rskim współtwórcą jego książki.

Adam Bromberg

Wydział Historii Partii KC PZPR  
FELICJA KALICKA  
**Powstanie krakowskie 1923 r.**  
Szkic historyczny  
Str. 108 22 3.—  
„KSIĄZKA WIEDZA“  
K 17145-1

STEFAN ZEROMSKI  
DZIENNIKI I 1882—1886  
Młodzieńcze pamiętniki wielkiego pisarza z lat gimnazjalnych, wydane po raz pierwszy z tekstem wyda- nie zaopatrzone jest w obfite przy- pisy i bogaty materiał ilustracyjny. Z prac Instytutu Badań Literac- kich. Tekst opracowali Wacław Bo- rowy i Stanisław Adamczewski. Przy- pisy Jerzego Kadzieli. Wstęp An- drzeja Wasilewskiego.  
Str. 564 21 35.—  
W przygotowaniu część II i III „Dzienników“  
„CZYTELNIK“  
K 15253-3



ANNA KOWALSKA

## Prometeusze

Pierwszy raz byłam w Związku Radzieckim, pierwszy raz widziałam Moskwę, Leninogród i Kijów. Bogactwo i różnorodność wrażeń, przeżyć i doświadczeń — ogromne. Najpierw same miasta, rozległe, ludne, każde inne, inaczej atrakcyjne, inaczej piękne. Tętniąca życiem, ośmiomilionowa Moskwa, ze swym potężnym rozmachem budownictwa. Leningrad o surowej elegancji, urokliwie malowniczy Kijów.

A z każdego z tych miast został w pamięci jakiś obraz dominujący co upórcożywie powraca i przesłania inne. I tak z Moskwy to widok wieżowców majających w delikatnej, październikowej mgłę, różanej i liliowej równocześnie; tak ujrzałem te potężne budowle miały coś ze zjawy, z marzenia; to znowu uniwersytet na tle nocnego nieba jak gigantyczna a strzelista choinka jarząca się od świateł. Z Leningradu ta chwila niebieska, kiedy wjechałszy serpentyną na wzgórze miało się w oczach szafirowe wody Zatoki Fińskiej i rozległy obszar stadionu i znowu wieczorem widok Nowy kołyszającej w milczeniu świetliste odbłaski lamp, jak olbrzymie zatopione perły. Kijów, gdzie oczy trzeba było przymrużać od słonecznego blasku i gdzie w głowie się kręciło od ilości kwiatów, i prawda każde powiedziec drogi Maksymie Ryłski, nie tylko kwiatów, ale od wszystkich gorących słów i chłodzonego wina.

\*

Wielu ludzi przede mną mówiło i pisało o swoich wrażeniach ze Związku Radzieckiego. Czytałam reportaże, felietony, książki całe, oglądałam filmy i sztuki a przecież wszystko, od pierwszej chwili podróży było nowością, tak jakby słowo czy obraz nie stanowiły dostatecznego środka poznania.

W tej chwili, gdy ja z kolei mam przekazać swoje widzenie, swoje wrażenia i doświadczenia innym, nie bez troski do tego się zabieram. Po pierwsze, nie mogę się ludzi, że to co potrafię wyrazić okaże się celniejsze i wyraziste od tego, co już przede mną powiedziano, po drugie, że nie uniknę chyba powtarzania tego, co moi współtowarzysze podróży: Maria Dąbrowska i Julian Strykowski mówić i pisać będą.

Jako goście Związku Pisarzy Radzieckich przez cały czas pobytu doświadczałam niezwykłej serdeczności ze strony radzieckich kolegów. Nie tylko szczerze nas podejmuwali, ale zadali sobie wiele trudu, byśmy jak najwięcej mogli w czasie naszego pobytu poznać, najpożyteczniejszy i najprzejrzystszy ten czas spędzić. Byli gospodarzami, my byliśmy ich kolegami w goście. Zwiedzając zaś miasto, czy to w muzeach, w kinie, w teatrze, w sklepach, na ulicy, gdziekolwiek dany nam było zetknąć się przygodnie z ludźmi, dla których byliśmy tylko nieznanymi, obojętymi przechodniami, wszędzie spotykaliśmy się z uprzejmością i życzliwą uwagą z jaką człowiek radziecki odnosi się do drugiego człowieka. Widzieliśmy jakim życiem tętnią biblioteki, muzea, teatry, uniwersytety, jak wszystko co najlepsze i najpiękniejsze stoi przed człowiekiem radzieckim otwarte i jak to, co z dóbr kultury zdobył, przetwarza w życiu.

Asystowaliśmy też niejako w całym procesie wychowania i kształcenia człowieka radzieckiego, przeżywając w fabrycznych przedszkolach, w szkołach w Moskwie i Kijowie, w Domu Pioniera w Leningradzie, w Domu Dziecka w Jasnej Polanie, biorąc udział w dyskusji nad tezą doktorską na temat współczesnej powieści polskiej w starym uniwersytecie i zwiedzając nowy uniwersytet im. Lomonosowa. Widzieliśmy bogactwo gier i zabaw rozwijających spostrzegawczość i inteligencję dziecka, świetne wyposażenie w materiały służące do upogodnienia nauki w szkole, a więc przeróżne laboratoria, planetaria, aparaty projekcyjne i wreszcie obejrzelśmy ów gród nauki jakim jest nowy uniwersytet w Moskwie. A wszędzie, od przedszkolanki do uczącego ta sama troska, powaga i umiejętności, by dziecko a później uczeń i student uniwersytetu uformował się na pełnego człowieka a równocześnie na odpowiedzialnego specjalistę i fachowca.

Ale nie tylko szkoły i rodzina, nie tylko organizacje pionierskie i komсомolskie, nie tylko pieczołowicie pielęgnowana narodowa tradycja kulturalna wychowują obywatela. Czyni to również samo miasto. Do codziennego użytku oddane są obywatelowi radzieckiemu nowe budowle, których marmurowa wspaniałość zadziwia przybysza, ale nie mniej też zadziwia i czystość. Stacje i wagony metro, dworce kolejowe i samolotowe, hole i korytarze teatrów, bufety i stołówki śnią

i tchną czystością. Nikt się nie pcha, nie podnosi głosu, nie rzuca niedopałków papierosa. Często, bardzo często widzi się szczególnie w metro ludzi czytających książki. Chwila wolnego czasu jest cenna, nie godzi się jej marnować. Czas to — kultura.

Do północy otwarta jest biblioteka imienia Lenina w Moskwie, licząca (jeśli dobrze pamiętam) dwaście milionów tomów, zajmująca pierwsze w świecie miejsce, o ile chodzi o ilość książek wydawanych do czytania.

Prawdę powiedziawszy to nie bardzo umiem zwiedzać; nie potrafiłabym opisać funkcjonowania najprostszej maszyny, nie mam pamięci do cyfr. Tu powiem, że w Domu Pioniera w Leningradzie próbowałam z Julianem Strykowskim skłócić z przemysłnie ciętych kłódków litery. Nadaremnie się męczyli, dopiero jakieś uśmiechnięte ośmiolatki nam pomogły. Ładnieśmy z kolegą Strykowskim wyglądali! Literaci, a litery nie potrafią złożyć!

Nieumiejętność korzystania z pokazywanych obiektów, wynagradzamy pamięcią rzeczy mimochodem oglądanych, drobnych scen, które potem układają się zwykłe w jakąś całość i przede wszystkim pamięć ludzi, ich spojrzenia, wyrazów twarzy, barwy głosu, gestów.

Często słyszałam, że Rosjanie są urodzonymi mówcami i aktorami. O tym czym były przeżycia sztuk teatralnych, a prawie co wieczór bywałyśmy w teatrze, długo trzeba by mówić. Dla mnie stały się dobrą lekcją realizmu. Zwłaszcza oglądane w MChAT-cie „Owoce Edukacji” Tolstoja i w Małym Teatrze „Prawda dobra, ale szczęście lepsze” Ostrowskiego. Nie wielkich jednak aktorów chcę tu wspominać ale małego, malutkiego. Był nim czterolatek chłopiec w przedszkolu fabrycznym w Moskwie. Siedział na kolanach Strykowskiego, wodził palcami po wzorze serwety i pomagając sobie od czasu do czasu westchnieniem i małym słówkiem „wot” opowiadał bajkę o niedźwiedziach. Mówił spokojnie, powoli, oddając intonację głosu, mimiką delikatnej twarzy przeżycia swoich niedźwiedziów. Nie zauważał nas, nie pamiętał o nas, dopiero gdy skończył, chwilę się namyślał, po czym podszedł do Marii Dąbrowskiej i zarzucił jej ręce na szyję, ufnie i czule. Należał mu się pocałunek.

\*

Nie tylko wynosimy, ale i zostawiamy wspomnienia. I tak w Domu Dziecka i w szkole w Jasnej Polanie zeszłoroczny pobyt literatów polskich żywo i serdecznie był wspominany. Powtarzano z przyjaznym uśmiechem nazwiska Putramenta, Szmaglewskiej i Macha. Kilka razy w ciągu podróży słyszałyśmy też ciepłe słowa o Alicji Musiałowej i jej towarzyszkach. „Po zdrowie ich wszystkich od nas” prozono, nalegano przy pożegnaniu, a nie była to zdawkowa grzeczność. Z prawdziwą przyjemnością spełniał obietnicę i przekazuje kolegom i Alicji Musiałowej pozdrowienia od przyjaciół w Związku Radzieckim.

\*

Po przyjeździe do kraju, po wielokroć musiałam odpowiadać przyjaciółom, znajomym, a także i obcym ludziom, którzy przyszedli do nas, że byłam w Związku Radzieckim, pytali, jak tam się żyje, podróżuje, jak wygląda uniwersytet, metro, a nawet jak się ubierają kobiety. Pytano o pisarzy, o teatry, o stereokino i telewizję. Pierwszy mój impet opowiadania zużył się więc w rozmowach prywatnych. Mówiłam, zależnie od rozmówcy, o Aurorze i Kremlu, o sekcji dramatycznej w Związku Pisarzy w Moskwie i o pisarzach leningradzkich i kijowskich, o przedstawieniach MChAT-u o balecie Mojsieja i o Obrazcewie, o białych krukach działu starodruków, a także o bogato wyposażonych sklepach.

W najważniejszych jednak rozmowach zostawało niewypowiedziane to, co jest najbardziej osobiste i co tylko w dziele artystycznym da się wyrazić, a mianowicie samo przeżycie.

Nieraz w ciągu tych trzech tygodni spędzonych na ziemi radzieckiej przychodził mi na myśl wielki buntownik mityczny — Prometeusz, syn tytana. Wykradł on bogom ogień i obdarzył nim ludzkość umożliwiając jej w ten sposób wyższą kulturę. Z roku tytanów byli ludzie Wielkiej Rewolucji Październikowej, którzy w bojach i ciężkim trudzie budownictwa wywalczyli i utwierdzili pierwsze w świecie państwo socjalistyczne.

Anna Kowalska

Ulewą odświeżony  
Drga na powietrzu lśnię.  
Ach, bliższe zielone  
Na dwóch nutkach gwiazd.

Walu, Walentyne,  
Co się z tobą stało?  
Biała, biała sala,  
Drzwi błyszczące białem.

Jak nie pajęczyny  
Na błady policzek  
Wypieliz szkarłatny  
Śmiertelny płomykczek.

Mówić nie masz sily,  
Wargi suche parzą.  
Odprowadzą czary  
Nad tobą lekarze.  
Głaszczą bledne włoski  
Ostrzyżone nisko.  
Walu, Walentyne,  
Na co ci to przyszło?  
Tchnie powietrze żarem.  
Dyszą trawy czarne.  
Czemu głowa boli  
Od splekoty parnej?  
Czemu więzną jęki  
Pod językiem głuchym?  
Czemu na powieki  
Sen oddechem dmuchnął?  
Drzwi się otwierają.  
(Śpiąca. Śpiąca. Śpiąca.)  
Nad twym łóżkiem staje  
Matka szlochająca

— Walusiu, Walufu,  
W chacie mrok bolesny!  
Przynoszę ci tutaj  
Twój krzyżyk chrzestny.  
Gospodarce krzywdy.  
Nie ma robić komu.  
Brudno u nas w łzach,  
Jak w ostatnim domu.  
Kury nie puszczone,  
Świnie nie karmione,  
Srogo ryczą krowy  
Dawno nie dojone.  
Nie bój się, Waleńko,  
On cię nie ugryzie.  
Złocony, maleńki  
Od chrztu krzyżyk.

EDWARD BAGRICKI

## Śmierć pionierki

Na polczku zmętym  
Lza duża.  
A w szpitalnych oknach  
Huczy burza.  
I otwiera oczy Wala,  
Chociaż sen je zmrzuza.

Z krajów ponurych,  
Od mórz gniewnych  
Napływają chmury  
Deszczów ulewnych.

Nad szpitalne drzewa  
Zwarte szyki kroczą.  
Rząd głów się przelewa,  
Oddział się łączy.  
Chustki-byskawice  
Na wietrze łopoczą.

W deszczowym lśnieniu  
Mknących obłoków  
Suną głów cienie,  
Niesie się pochód.

Runęły słuzy.  
W bojowy zamęt  
Ruszą błuzy  
Burzą owiane.  
To trąby. Trąby  
Podnoszą lament.

Nad ogród szpitalny,  
Nad błękit jezdorny  
Idą oddziały  
Na apel wieczorny.

Cień ich się szerzy.  
(Dół sina, sina.)  
Pionierzy z Kuncewa,  
Z Setuni pionierzy,  
Pionierzy z fabryki Nogina.  
A tu ubolewa  
Matka pochylona:  
Tych dziecińnych dłoni  
Nie uścisnę ona.  
Gorczką spalonych  
Warg już nie odświeży.  
Na łóżu śmiertelnym  
Walentyne leży.

Czyż nie zbierałam  
Dla ciebie dobra?  
Jedwabnych sukien,

Futer i srebra?  
Czyż nie skapiłam,  
Malo co spalam,  
Krowy dołiam,  
Kury sadzałam.  
Byś szła panną z wianem,  
Nie z byle lachmanem.  
Byś w welonie cieniłam  
Przed ołtarzem kłękła.  
Nie bój się, Waleńko,  
On cię nie ugryzie.  
Złocony, maleńki  
Od chrztu krzyżyk.

Niechaj brzęczy nudne,  
Uprzykrzone słowo.  
Młodość nie zginęła —  
Żyje, żyje młodość!

Wiodła nas młodość  
Z szablą w ataku.  
Pchała nas młodość  
Na łód Kronsztadtu.

Bojowym skokiem  
Konie sadziły.  
Plące szerokie  
Krew naszą plły.

Lecz w krwi gorącej  
Myśmy wstawali.  
Oczom ślepacym  
Patrzeć kazali.

Dzień się, braterstwo  
Kruka z człowiekiem!  
Wzmocnij się, mięsło,  
Stalą, zasieklem!

By ziemia clerpka  
Krwia ociekała,  
By młodość krępka  
Z kości wstawiała.

By w tym drobnolutkim  
Ciele — na wieki  
Śpiewała młodość  
Jak włosa rzekł.

Walu, Walentyne,  
Widzisz tam, w górze,  
Bojowy sztandar  
Biegnie po sznurze!

Flaga purpurowa  
Łopocze na wzgórzu.  
„Walu, bądź gotowa!” —  
Rzuca hasło burza.

W lśnieniu włosny wczesnej  
Ulewa buszuje.  
W koszulce niebieskiej  
Wala salutuje.

Lekko jak wżnienie  
Podnosi się drżąc  
Nad szpitalnym łóżkiem  
Jedziecinną rączką.

„Jam zawsze gotowa!” —  
Wala odpowiada,  
Pozłacany krzyżyk  
Na dywanik pada.

A potem bezsilnie  
Drobna dłoń się stacza  
W puszyste poduszki,  
W miękkość materaca.

A w szpitalnych oknach  
Ciepło i niebiesko.  
Na szpitalną salę  
Wielkie słońce weszło.

Matka koło łóżka  
Pada na kolana.  
O, jak dobrze teraz  
Płiszkom na parkanach.

To wszystko!

A jednak  
Pleśń niepokonana.  
W dzieleńcem sześciu  
Znowa pleśń powstaje.

Podchwytuje pleśń tę  
Oddział za oddziałem.

I znow pleśń wyrusza  
Tupiąc nog tysiącem

W świat otwarty naszeł  
Wichrom szalejącym.

Kwiecień — sierpień 1932 r.

tl. Anna Kamińska

MARIAN BRANDYS

## Na dobrej drodze

Wydawnictwo „Czytelnik” uczciło miesiąc przyjaźni polsko-radzieckiej wydaniem zbiorowej pracy literatów polskich o Związku Radzieckim. Na książkę tę p.t. „Wśród przyjaciół”) złożyły się przede wszystkim wrażenia z podróży dziesięciu uczestników zeszłorocznej wycieczki literackiej do Związku Radzieckiego, a więc: Jerzego Putramenta, Gustawa Morcinka, Arkadego Fiedlera, Seweryna Szmaglewskiej, Wilhelma Macha, Jerzego Broszkiewicza, Tadeusza Konwickiego, Aleksandra Scibor-Ryńskiego, Andrzeja Kijowskiego i Bogusława Koguta. Tę antologię wycieczkową uzupełniają jeszcze wcześniejsze utwory Tadeusza Brezy, Krzysztofa Gruszczyńskiego i Stanisława Ziembickiego oraz wiersze studiującego w Moskwie Wiktora Woroszyńskiego.

Już samo zestawienie nazwisk autorów zbioru „Wśród przyjaciół” zwraca na tę nową publikację baczniejszą uwagę czytelników i domaga się od krytyki skrupulatnej oceny jej wartości. Ale zalet i wad zbioru „Wśród przyjaciół” nie można omawiać w oderwaniu od jego genealogii. Przed przystąpieniem do oceny najnowszej książki o Związku Radzieckim, należy przypomnieć w kilku zdaniach charakterystykować to wszystko, co napisano u nas o Związku Radzieckim w latach poprzednich.

Ujmując rzecz najogólniej, trzeba stwierdzić, że dotychczasowa propaganda literacka przyjaźni polsko-radzieckiej nie wywiązywała się ze swych zadań w sposób zadowalający. Stale wzbierającym w naszym społeczeństwie zainteresowaniu dla spraw radzieckich nie towarzyszył niestety, odpowiedni wzrost zainteresowań czytelników dla pojawiających się co pewien czas reportaży literackich czy notatek z podróży po Związku Radzieckim. Absolutna większość tych publikacji najwyraźniej nie zaspokajała potrzeb i żądań naszego czytelnika — i przechodziła prawie nie zauważoną. (Jak zdolałem ustalić, jedyną poczytną pozycją był essey publicystyczny Jerzego Andrzejewskiego p.t. „O człowieku radzieckim”).

A działało się tak dlatego, że dotychczasowe reportaże i notatki z podróży po Związku Radzieckim grzeszyły zbytnią oficjalnością, brakiem bezpośredniości w podejściu do tematu i indywidualności w jego opracowaniu. Za mało było w nich własnych autorskich spostrzeżeń i doświadczeń, za wiele erudycji i informacji z drugiej ręki, za wiele pisania o problemach niezgłębianych i znanych autorom tylko ze słyszenia. Dlatego większość tych utworów przypominała raczej oficjalne sprawozdania z wzorowych wystaw rolniczych, bądź wykłady szkolenia ideologicznego — niż pisarskie relacje z zetknięć z żywymi ludźmi i sprawami wielkiego wspaniałego kraju.

Za pierwsze sygnały przełamania tej niesłusznej, szkodliwej konwencji pisania o Związku Ra-

dzieckim można uznać dwie prace wydane w ostatnich miesiącach: tomik reportaży Tadeusza Drewnowskiego „Moskiewskie lato” oraz książkę Józefa Ozgi-Michalskiego „Niezwyczajna podróż”. Drewnowski ograniczył swe ambicje reportera i monografa do własnych doznań, spostrzeżeń i refleksji — i zajął się wyłącznie dobrze sobie znanymi sprawami. Dlatego to, co nam opowiadał o swych wrażeniach moskiewskich, a zwłaszcza o doświadczeniach, wyniesionych z dwumiesięcznej praktyki w redakcji „Literaturnej Gazety” — rzeczywiście w jakiś sposób może wzbogacić naszą wiedzę o życiu radzieckim.

„Niezwyczajna podróż” Ozgi-Michalskiego jest sprawozdaniem z wycieczki polskich chłopów do kołchozników radzieckich. Książka utrzymana jest w tonie bezpośredniej, pełnej humoru gawędy i odznacza się zaletami niespotykanymi dotychczas w publikacjach tego typu: żywą akcją, prawdziwymi dialogami, plastycznym rysunkiem postaci i świeżością spostrzeżeń. Mimo, że temat „Niezwyczajnej podróży” był już omisywany wielokrotnie — czytelnik książki Ozgi-Michalskiego odnosi wrażenie, że podróż tę odbywa po raz pierwszy i że naprawdę jest to podróż niezwykła.

Autorzy zbioru „Wśród przyjaciół” poszli tą samą drogą, co Drewnowski i Ozga-Michalski, choć w nieco inny sposób. Zasadniczym założeniem zbioru była z pewnością chęć najbardziej zdecydowanego odżegnania się od wszelkiej oficjalności i dążność do nadania relacjom autorskim najbardziej osobistego charakteru. To udało się w pełni. Pod tytułem „Wśród przyjaciół” można śmiało dopisać słowa: wszystko co weszło do tej książki, zostało dostrzeżone własnym okiem autorów, usłyszane ich własnym uchem i przeżyte w ich własnym sercu.

Ton bezpośredniej szczerzej relacji cechuje wszystkie utwory zbioru, poczynając od „rodzinnych” listów Gustawa Morcinka, a kończąc na wyrażeniach artystycznych i psychologicznie impresyjnych Wilhelma Macha. Ten właśnie ton nadaje całej książce świeżość prawdziwych zapisków podróży i stanowi jej główną zaletę.

Treść zbioru jest różnorodna i wyraża się niemal we wszystkich istniejących formach literackich. Cykl poetycki Koguta i wzruszający wiersz „W Gorkach” Ziembickiego, sąsiadujący z pięknym, do poematu prozą podobnym, opisem podróży piora Macha. Od pełnych humoru „Migawek z Abhazji” Putramenta czytelnik przechodzi wprost do dostojnych, na klasycznej prozie wzorowanych, opowiadań Gruszczyńskiego. Skrupulatne notatki podróżne Arkadego Fiedlera spotykają się z refleksyjami historycznymi Broszkiewicza i z bardzo interesującym reportażem Brezy.

Niektóre utwory zbioru „Wśród przyjaciół” osłagają piękno i napięcie wzruszenia radość spotykane w prozie typu reportażowego Szkice Macha, Broszkiewicza, Konwickiego i Kijowskiego przemawiają do czytelnika siłą prawdziwego przeżycia. Dla przykładu przytaczam za-

kończenie impresyjnego reportażu Macha p.t. „Wielka Rosja”.

„...Tę samego jeszcze wieczoru wracaliśmy z Konwickim z pierwszego rekonesansu. Było już późno. Śnieg ustał. Nad naszymi głowami raz po raz rozpiwały się potężne łuki bram, zbrojnych w monumentalne żelazne kraty. Górą poprzez półkolia czerni grał wiatr. Świsłał, szumił, huczał, ciskając na ulicę sytki, porywany z dziedzińców, puch śnieżny, skracając go w przelotne gwałtowne wiry. Większość światła wygasła. Nieliczni już przechodnie zaciskali poły płaszczy, śpieszyli się. Miasto jawiło się teraz jeszcze bardziej ogromne i jednak północne. Nagle na wprost i jakby bardzo blisko załśniły dwie ruścinowe gwiazdy. Postąpiliśmy jeszcze — i gwiazd przybyło. Stajełniamy — Tadeuszu, diuhu miły, nie mówiliśmy wtedy do siebie nic. Do już łacy jesteśmy, że latwiej nam czasem napisać niż powiedzieć. Tadeuszu, gdybym wtedy był sam, gdybym się ciebie nie wstydził, to bym pewnie postąpił tak, jak to robią chłopcy z mojej rodzinnej wsi, gdy nocą z daleka wracają do domu: wzniosłbym ręce, podał głowę ku górze i okrzyknął swoją radość wysokim, przeciągłym, doniosłym zaśpiewaniem.”

Alle zbior „Wśród przyjaciół” ma także wady. Główną wadą książki — bądź co bądź w zasadzie reportażowej — jest jej mała wartość informacyjna. Autorzy w upartym dążeniu do bezwzględnej bezpośredniości relacji nieco przegięli pałkę. W miejsce odrzuconego balastu erudycji politycznej i danych statystycznych, nie zawsze potrafili podstawić wiedzę o konkretnych szczegółach obserwowanego życia. Dlatego w książce za mało jest „mięsa reportażowego”. Autorzy zbyt często skupiają uwagę na błażych nieistotnych drobnostkach, dając im wyraz w równie błażych i nieistotnych impresyjkach. Prowadzi to do nadania całej książce charakteru przesadnie impresyjnego, ze szkodą dla jej funkcji informacyjnej.

Inne wady zbioru wynikają z niedoskonałej kompozycji i z nie dość starannego opracowania tekstów przez redakcję literacką wydawnictwa.

Wstęp książki uprzedza czytelnika, że niektóre tematy będą się powtarzać w zbiorze w różnych wariantach. Na to można się zgodzić. Gorzej, gdy temat przewija się przez kilka utworów zbioru w jednym i dokładnie takim samym wariantcie. W zbiorze „Wśród przyjaciół” takie wypadki zdarzają się. Na przykład interesujące opowiadanie rektora Keczhoweli o szkole w gruzińskiej wsi Thujawi. Po przeczytaniu tej historii po raz czwarty czy piąty, czytelnik musi stracić dla niej całe zainteresowanie.

Błędem kompozycyjnym było umieszczenie w środku książki opowiadania Scibora-Ryńskiego p.t. „Konieczyna”. Akcja tego słabego zresztą opowiadanka rozgrywa się już po powrocie ze Związku Radzieckiego. Dlatego „Konieczyna” w najlepszym razie powinna była się znaleźć na końcu książki, jako swego rodzaju post scriptum do wła-

ciwego tekstu. Umieszczenie jej w środku książki wprowadza tylko niepotrzebne zamieszanie.

Zdarzają się również drobne sprzeczności między relacjami poszczególnych autorów. Niepokój o ważnego czytelnika wywołuje spór rachunkowy między Arkadym Fiedlerem a Seweryną Szmaglewską. Szmagłewska, starając się uzmysłowić czytelnikom wielkość moskiewskiego Uniwersytetu im. Lomonosowa — opowiada im obrazowo, że dziecko, które przeszło przez wszystkie pomieszczenia uczelni, zatrzymując się w każdym z nich na jeden dzień — wyszłoby z olbrzymiego gmachu i uzupełnił starym człowiekiem. Natomiast Fiedler pisuwa się dalej i twierdzi, że na odbycie takiej wędrowki trzeba by aż stu dwudziestu lat. Szmagłewska oblicza, że taki sam spacer z postojami jednodniowymi zająłby aż kilka miesięcy, a przekorny Fiedler podejmuje się dokonać tego w ciągu zaledwie miesiąca. Na szczęście ilość sal i pokoiów uniwersyteckich podano także w bezwzględnych cyfrach, więc czytelnik sam może bez trudu sprawdzić sporne obliczenie i w następstwie otrąbieć zwycięstwo skrupulatnego podróżnika nad rozrąganą pisarką. Szkoda tylko, że w tym sprawozdaniu czytelnik musi zastępować „Czytelnika”. Powie ktoś, że to czepianie się drobiazgów. Mnie się wydaje, że w tak poważnej i obciążonej na szeroki zasięg czytelniczy, publikacji nie wolno tolerować nawet takich drobnych niedociągłości.

W sumie jednak wszystkie wady i niedociągnięcia zbioru „Wśród przyjaciół” nie są w stanie przeważać jego zalet. Ładunek serdecznego uczucia zawarty w książce czyni z niej niewątpliwie wkład w dzieło przyjaźni polsko-radzieckiej. Książka „Wśród przyjaciół” uczy, że można i należy pisać o Związku Radzieckim inaczej niż pisało w latach ubiegłych. I to jest jej główna osiągnięcie.

Na zakończenie chcę jeszcze wspomnieć o zamykającym zbior, wierszu Wiktora Woroszyńskiego „Skąd dobrobyt”. Autor wiersza przestrzega odwiedzającego Moskwę propagandyście, aby po powrocie nie opowiadał jedynie o obecnym moskiewskim dobrobycie, lecz starał się także odmalować cały bohaterski trud przeszłości i teraźniejszości, z którego ten dobrobyt się wywodzi. Zakończenie wiersza brzmi:

A jeśli zdołasz i zechcesz  
dziećcie te tak opowiedzieć,  
że nawet w oporne serce  
ich prawda plomieniem wejdzie,  
wtedy mów i o dobrobycie  
coś go widział w radzieckim kraju  
i poznaj w tym — nowe życie  
a nie tylko gadki o raj.  
I płaz tylko rękę wykrzywi,  
Twoich słów słuchając z ironią,  
zaś wszyscy ludzie prawdziwi  
uczynią jej kielnią i bronią.

Sądzę, że każdy pisarz wyjeżdżający do Związku Radzieckiego powinien sobie dobrze prześledzić tego wiersza zapamiętać.

Marian Brandys



WALDEMAR KIWILSZO

## Bierzmy wiatr w żagle

DYSKUSJA O DRAMATURGII W ZWIĄZKU RADZIECKIM

Biurko współczesnego dramaturga obstarpiło wiele problemów, palących, budzących niepokój — problemów twórczych i niestety nie tylko twórczych. Na rozpoczynającym się jutro plenum zarządu Związku Literatów Radzieckich winny one być postawione z całą otwartością i odwagą, z jaką partia nasza stawia podstawowe zagadnienia życia społeczeństwa radzieckiego.

Tymi słowami w przeddzień plenum rozpoczyna swój artykuł („Literaturnaja Gazieta” nr. 124 — 2.X.53 r.) znany dramaturg i scenarzysta filmowy Aleksander Sztajn. Zapytajmy: jakież to „twórcze i niestety nie tylko twórcze” problemy dramaturgii stanęły w ogniu plenarnej dyskusji pisarzy radzieckich?

## W PRZEDDNIU PLENUM

Czytelnicy „Nowej Kultury” są już częściowo z zagadnieniem obznajomieni. Wartość artykułu Pomińskiego „Czy będziemy mądrzy po szkodzić” leży nie tylko w przytoczeniu interesującej wypowiedzi Czerkasowa, lecz również w jego „mowie” własnej, tam, gdzie autor krótkimi sygnałami publicystycznego pióra mierzy z niehamowaną pasją w „sprawy rodzinne teatru”.

Powróćmy jednak do rzucanego przed chwilą pytania.

W przeddzień plenum „Literaturnaja Gazieta” publikowała szereg wypowiedzi wybitnych dramaturgów współczesnych. Spośród tych wypowiedzi wybija się na czoło publikacja Pogodina — „Droga ku wielkiej sztuce”. Autor „Człowieka z karabinem” wyraża pogląd iż rok ostatni nie przyniósł w swym inwentarzu sztuk, których wystawienie stałoby się wydarzeniem teatralnym wielkiej miary. W twórczości tego okresu —nawet po dyskusji zeszłorocznej — nie znaleźć sztuki, która by w sposób najzupełniej godny mogła się stać następczynią i kontynuatorką tradycji wielkiego dramatu radzieckiego, którego cechą zawsze była rozległość problematyki etycznej i politycznej. Nie znaleźć jej też pośród utworów najnowszych, które obroniły się już w praktyce przed fałszem bezkonfliktowości. I to jest dopiero zjawisko, które powinno głęboko zastanawiać. Szukając na nie odpowiedzi stwierdza Pogodin co następuje: „Sadzę, że piszemy wciąż jeszcze według starych norm i za korzenionych w przyzwyczajeniu szablonów. Stąd też powtarzanie znanych od dawna postaci oraz przejmowanie sytuacji, sposobów pisarskich i tematów dawno już opracowanych. Są to wciąż jeszcze reminiscencje, nie zaś zdecydowany zwrot ku wielkiej i głębokiej prawdzie życia, do ukazywania której przyzywa nas partia, widz radziecki i teatr”.

Postawia kropkę nad i oraz pogłębia zagadnienie w artykule „Przeciw schematowi” Atanazy Saliński, młody dramaturg, autor sztuki „Niebezpieczny pasażer”. Twierdzi on, iż fałsze „teorii” bezkonfliktowości nie zostały do końca zwyciężone w umysłach „wórców”.

„Najsmutniejsze jest to, że niektórzy pisarze nie wywołali się spod władzy cenzora „wewnętrznego”, który przez tak długi czas niepostrzeżenie przesadywał przy biurku pisarza, hamował jego myśli i język: „To można — a tamto — nie”.

„A dlaczego właśnie nie można?” — rzuca pytanie Saliński i tu wyjaśnia szkodliwość sugestii jakoby z jakichś tam względów należało tu szować konflikty życia, bo a nuż pomyśla o nas źle nasi wrogowie. W tym miejscu Saliński daje pokaz dialektycznego myślenia.

„A czyż wrogowie nasi kiedykolwiek myśleli o nas dobrze? Zawsze rzucali i nie przestają rzucać oszczerstw na nasze życie. A oglądać się na pyski wrogów, znaczy to krępować samych siebie, głębiej wpe- dzać te choroby, na które zapadają jeszcze nasi ludzie”.

W tej fałszywej sugestii, którą demaskuje Saliński, widzi on jedną z przyczyn mianina się z realizmem, odbiegania w dziedzinie czystej idylli, co pozbawia pisarza możliwości mówienia narodowi prawdy.

Jedno z poważniejszych źródeł zahamowania pracy teatrów i postępu dramaturgii upatrywano w instancjach kierujących polityką repertuarową. Borys Lawreniew i Włodzimierz Pimenow opublikowali obszerny artykuł pod wielokrotnie wymownym, niedwuznacznym tytułem: „Opieka formalna czy też twórcze kierownictwo?” („Literaturnaja Gazieta” nr. 122 z 15. X. 1953 r.), w którym poddają stanowczej krytyce formy pracy wydzielu repertuarowo-redaktorskiego przy Komitecie dla Spraw Sztuki. Dowodzą oni, iż „kształtowanie repertuaru wielu teatrów oraz działalność repertuarowa Komitetu Dla Spraw Sztuki wciąż jeszcze nie mają charakteru twórczego, prowadzone są niekiedy metodami administracyjnymi”. Ten zadufany w sobie biurokratyzm w podejściu do spraw sztuki ujawnił się również w tych przypadkach, kiedy wtrącano się w pracę twórczą dramaturgów i rozstrząsano arbitralnie sposoby pisania, żądając często od pisarza wniesienia w sztukę poprawek stojących w sprzeczności z zamysłem ideowym i jawnie wbrew logice artystycznej utworu. Sam zaś tryb rozpatrywania rękopisów przekształcił się w nużący długi proces, w

trakcie którego redaktorskie wskazania zmuszały autora do nieczłowiecznych „dopracowań”. Wreszcie zjawiskiem niezdrowym, nie przynoszącym na ogół korzyści a mogącym łatwo przysporzyć szkód jest to, że sztuka oceniana bywa w zbyt wąskim i stale niezmiennym kręgu jednych i tych samych ludzi. I najczęściej w takich warunkach autor nie otrzymuje żywego sądu innego twórcy, jest pozbawiony opinii, która najlepiej mogłaby jego dziełu służyć. A opinie redaktorskie są wydawane zbyt często w tonie prokuratorskim, tak jak gdyby dzieło było aktem przestępczym.

W konkluzji autorzy stwierdzają, iż „kierownictwo działalności twórczej teatrów, to wcale nie to samo co biurokratyczna opieka. Głęboki jego sens polega na kierowaniu pracą dramaturgów i teatrów, realizowaniu kontroli kształtowania repertuaru, na podtrzymywaniu inicjatywy twórczej zarówno teatrów jak i pisarzy, wreszcie na pobudzaniu wszelkimi sposobami śmiałości artystycznej w rozwiązywaniu najbardziej aktualnych zagadnień współczesności”.

Ktokolwiek bliski jest życiu naszego teatru i dramaturgii, nie oślaniając wzroku przed prawdą postrzeżę, iż większość wypowiedzianych przez towarzyszy radzieckich uwag i sądów pasuje jak ulał do garnituru spraw naszych. Niedomagania naszych kolegów repertuarowych, dysonanse współpracy CZT z pisarzami, atmosfera przyczyszczenia ruchu twórczego, zniżania lotu do poziomu ciasnych formulek stały się już aż nadto widoczne, przekroczyły zaczerpnięte koło tajemnic, zajęły opinię powszechną.

W artykule swoim Lawreniew i Pimenow omawiają przede wszystkim kłopoty z zakresu organizacji życia teatralnego, ale mimochodem dotykają różnic w kwestii współpracy twórczej pisarzy z teatrami.

## DUCH CZASU I PRZEMIANY

Do tej ostatniej sprawy nawiązuje wypowiedź znakomitego reżysera i aktora Mikołaja Ochłopkowa. Stąd też dobitny tytuł artykułu „Dramaturgia i teatr są nierozłączne” („Literaturnaja Gazieta” nr. 123 z 17 X. 1953). Jednym z epigrafów, w jakie zaopatrzył swój artykuł Ochłopkow jest zdanie Puszkina: „Duch czasu żąda przemian również i na scenie dramatycznej”. Jak w przedstawionych poglądach odpowiada to naasto autor?

„Współczesna dramaturgia winna odpowiadać wymaganiom współczesnego człowieka radzieckiego. A wymagania te obecnie bardzo wzrosły tak, jak bardzo wzrósł wewnętrznie sam człowiek. Ma on najwęższe prawo nie zadowalać się utworami pisanymi nie ręką artysty, lecz rzemieślnika. Ma on pełną rację w braku poszanowania dla schematów i doktrynerskich tez.

Naród radziecki żąda dalszego ciągu znakomitych osiągnięć znanych takimi sztukami jak: „Lubow Jarowaja”, „Pociąg pancerny 14-69”, „Tragedia optymistyczna”, „Przełom”, — sztukami M. Pogodina, B. Romaszowa, W. Wiszniewskiego, K. Simonowa, A. Korniejczuka, B. Lawreniewa, A. Sofronowa, A. Jakobsona, A. Fajko, A. Sztajna i innych”.

Wiemy dobrze, że sztuki wspomniane wyżej i pisarze wyliczeni niepełnym jeszcze szeregiem są wypróbowanymi towarzyszami widza teatralnego w Związku Radzieckim podobnie jak i u nas. Ich właśnie przykłady dowodzą, że wielkie, szlachetne idee potrafią zawiądnąć u myślim i sercem człowieka tylko wtedy, jeżeli przekazane zostaną poprzez utwór, w którym nie zbraknie bogatej znajomości życia, ni mistroztwa rysunku psychologicznego postaci, ani też starcia ludzkich uczuć i pasji. „Obecnie jasnym jest dla wszystkich, nawet dla tych którzy najskrajniej bładzili w sprawach konfliktów, iż bez konfliktu nie ma dramaturgii, że bezkonfliktowość — to największe zło sztuki. Tak — sztuki wymagają silnych dramatycznych pojedynków, namiętnych starć „dwa obozów” — wymagają konfliktów”.

Ochłopkow podkreśla, iż człowiek w sztuce musi być taki, żeby każdy mógł o nim powiedzieć, że jest rzeczywiste żywy, realny, prawdziwy. „Gdy nie ma takiego człowieka w sztuce — wówczas natychmiast występuje na plan pierwszy dydaktyka, moralizatorstwo, najbardziej jawne i więcej nudą pouczenia, nagana agitka, „wieszak dla idei”. Braknie człowieka — wówczas każdy konflikt staje się nienaturalnie zmyślony, sztuczny, zabijając prawdziwe życie. Jeśli brakuje człowieka — zbraknie natychmiast starcie wewnętrzne — wszystko staje się powierchowne, wszystkim zaczyna rządzić samowola, nie zaś logika prawdy życiowej, nie logika samych charakterów i uczuć”.

„Wiem — pisze Ochłopkow — jak z powodu wielu „bohaterów pozytywnych” cierpiał Mikołaj Czerkasow blagając, aby przydano postaci coś prostego i ludzkiego, tak by nie trzeba było wypowiadać samych publicystycznych monologów i wymachiwać mieczem”. I to są słowa koleżeńskiej admocji wobec pisarzy: „Pamiętajcie, nasze życie na scenie jest w dużym stop-

niu zależne od wartości waszej literackiej pracy”.

Ochłopkow wie doskonale, że z podobnym apelem mógłby się zwrócić do reżysera i aktorów każdy autor, którego sztuka weszła w stadium scenicznego opracowania. Wie też dobrze, że tak jak owoce twórczości dramaturgów są zbyt często niedoskonałe, tak też nierzadko bywa, że reżyser nie wydobywa wszystkich walorów tekstu, idzie w jego opracowaniu na koncepcje graniczące z „zablonem, przystawiając przedstawienie według metody bezpiecznej poprawności. A przecież nawet przy całej prawdzie, że oblicze artystyczne teatru określa przede wszystkim dramaturgia, repertuar, że ich wartość rządzi życiem teatru — odpowiedzialność za całość spektaklu ponosi reżyser.

„Nabył często, od momentu podniesienia kurtyny, aż do chwili jej opadnięcia więcej ze sceny na widownię straszną szarżyzną, zalecaną ni mniej, ni więcej jako „realistyczne odzwierciedlenie życia”. Innym razem wszystko jest „zgodnie z prawdą”, kiedy indziej „tak bywa w życiu”, ale... gdzie są poszukiwania syntezy artystycznej, stylu naprawdę typowego, gdzie natchnienie twórcze, gdzie twórczy zapal, indywidualność reżysera, jego artystyczna koncepcja?”

Przytoczone tej szarżyzny odnajduje Ochłopkow w twórczej pasywności i obiektywizmie artystycznym, jakie zawiadnęły myślą wielu reżyserów. Nazywa to Ochłopkow „chorobą trawiającą sztukę reżyserii”. A w tych ciężkich przypadkach „niepotrzebna już jest reżyserowi własna myśl artystyczna, niepotrzebna też jest reżyserowi zadania „koncepcja”, jak niepotrzebne są śmiałość twórcza pomysł, fantazja, wyobraźnia”. Po cóż wymyślać, fantazjować i wyobrażać, kiedy można zwyczajnie i po prostu mechanicznie odtworzyć to co jest w sztuce, dać kopię zawartego w niej życia.

Winę za stan rzeczy na froncie teatralnym w mniemaniu Ochłopkowa ponosi w wielkiej mierze krytyka teatralna. I tu pogląd jego jest absolutnie zbliżony z tym co wyraził w „Prawdzie” Czerkasow. Ostre słowa pod adresem krytyki padły w niedostępnej publikacji poprzedzającej plenum. Sprawy krytyki poruszone zostały szczegółowo w artykule J. Surkowa (nie mieszać z Aleksym) — „Objętość wobec sztuki” („Literaturnaja Gazieta” nr. 116 — 1.X. 1953 r.), jak też w obu referatach na plenum oraz w toku samej dyskusji plenarnej.

## OCZYŚCIĆ POLE WALKI

Rzeczą mało poważną byłoby utrzymywanie, jakoby krytyka teatralna była dziedziną w sposób zdecydowany wysoobioną, oddzieloną szerszościwie dystansem różnic od krytyki literackiej. O tym, iż pojęcie „muru chińskiego” przegradzającego te dwie dziedziny działania jest zwykłym pozorem i należy do czasów formalistycznych legend, wiedzą dziś zarówno krytycy zajmujący recenzencją krzesła w teatrze, jak i ci, którzy nie odchodzą od stołu literatury. Tylko śmiało i otwarte przyjęcie radzieckiej batalii o dramaturgię może stać się u nas pomocne w uśmierzeniu wielu bolączek trapiących twórców i nie tylko twórców, bo również czytelników i widzów. Dość też wylewania po cichu łez krokodyli z powodu stanu naszej krytyki — oczyścić jej pole walki, dajmy jej wreszcie oręż pełnej świadomości teoretycznej. Nadarza się nam pomoc niecodzienna. W umiejętnym i jak najpełniejszym jej przyjęciu leży dziś jeszcze jedna szansa naszej literatury i jedno z najpoważniejszych zadań krytyki. Nie powtarzamy się w błędach, skończymy z opieszałością, podajmy żagle w stronę, skąd nadbiegają wiatry, okazmy się wreszcie doświadczeniymi żeglarzami, którzy każdy pomyślny wiatr łapia w swoje płótna.

Musimy jednak powiedzieć, że próby twórczego przeniesienia wyników dyskusji radzieckich towarzyszy o dramaturgii były u nas niedostateczne. Przemyslenia materiału tej dyskusji dało się zauważyć ledwie u paru krytyków. Byli i inni, którzy, owszem, posługiwali się również terminologią przyswojoną z tej dyskusji i pisali... recenzje od siedmiu boleści. Kładli na przykład z miejsca książkę przemierzając do niej wielki i nagi schemat konfliktów antagonicznych i nie antagonicznych. Robili to orientując się widocznie na tzw. popularnie „modę”. Jednym z takich przykładów mogących świecić wzorem zbliżenia się do doskonałości schematyzmu jest dla nas choćby recenzja St. Medelskiego pt. „Nie trzeba bać się ostrych konfliktów” („Nowa Kultura” nr. 28-120). Tytuł, owszem, można powiedzieć, „modny”. Ale wynurzenia krytyka były bardziej schematyczne i prymitywne niż samo dzieło, które stało się przedmiotem jego refleksji i uwag. Nie jest to na pewno przykład odosobniony. Wymowa jego jest taka, że zapożyczymy oręż, którym w niejednym wypadku nie potrafilimy umiejętnie władać.

Inni krytycy nie angażowali zupełnie swego myślenia w sprawy „nie swoje”. Śledzili dyskusję o schematyzmie i w najlepszym razie my-

śleli sobie: „dobrze, że nie jestem powieściopisarzem, nie mam kłopotów, jakich dostarcza sprawa schematyzmu, mam sen spokojny i póro pewnie”.

Referat Konstantego Simonowa — „Problemy rozwoju dramaturgii radzieckiej” — był przeniknięty duchem protestu przeciw wszystkim, „co przeszkadza jeszcze w walce o prawdę i wysoki poziom praktyki twórczej oraz krytyki literackiej i teatralnej”.

## SIMONOW O TCHÓRZLIWYM NIHILIZMIE

W pierwszej części referatu Simonow zajął się zagadnieniem „tradycji krzepiących dramaturgię współczesną”. Klasyczny dramat rosyjski wieku XIX i XX zachowywał swoje znaczenie również i dzisiaj. Jednak u wielu dramaturgów i krytyków daje się zauważyć niezrozumienie owoności nawiązywania do tradycji klasycznej dramatu, którego twórcami byli Puszkini i Gogol, Gribojedow i Turgeniew, Suchow-Kobylin, Ostrowski, Szchedrin, Tolstoj, Czechow i Gorki — wielcy humaniści i znakomici mistrzowie słowa.

Dosyć szeroko rozpowszechniały się również poglądy sprowadzające się do na polu nihilistycznego stosunku do dramaturgii radzieckiej lat dwudziestych i trzydziestych. Uważa się ją za jakiś drugorzędny gatunek literatury i twierdzi, że można się uczyć tylko na jej błędach, bo jakoby w głównej mierze składała się ona z błędów. Wyznawcy tych poglądów uznają cztery klasyczne sztuki radzieckie: „Lubow Jarowaja”, „Sztorm”, „Pociąg pancerny” i „Przełom” — z reszty aż do dramaturgii Wojny Narodowej i powojennej czynią inwentarz pomylek i błędów niegodnych bliźszej uwagi.

Simonow ostro przeciwstawia się takiemu beznamiętnemu grzebaniu żywych wartości dramaturgii okresu budowy, rekonstrukcji i przedwojennych pięćdziesiąt. Wskazuje, że wiele sztuk okresu lat dwudziestych obrazuje w sposób prawdziwy życie ówczesne społeczeństwa radzieckiego, jego walkę o socjalistyczną przyszłość — walkę najściślej związaną z agonią starego świata. Są to sztuki takie jak: „Toż plankowy”, „Ognisty most” Romaszowa, „Dziwak” Afinogenowa, „Zegarmistrz i kwołka” Koczergii, „Człowiek z teką” Fajko, „Wystrzał” Bezymienskiego i inne.

## CZY TO TEŻ INNY ETAP?

Epoka lat trzydziestych, epoka pięćdziesiąt także nie jest okresem ubóstwa dramaturgii radzieckiej. Repertuar teatrów tamtych lat ma w swej ewidencji szereg napisanych z wyraznym talentem sztuk, np. „Tempo”, „Poemat o toporze”, „Mój przyjaciel”, „Po balu” Pogodina, „Platon Krecze”, „W stepach Ukrainy” Korniejczuka, „Strach”, „Przystanek Dalekie”, „Maszyna” Afinogenowa, „Kto się śmieje ostatni” Krapiwii, „Cudze dziecko” Szkwarkina, „Tania” Arbuzowa, „Żołnierz” Romaszowa, „Połowczanki sady”, „Wilki” Leonowa, „Bój to będzie ostatni” Wiszniewskiego, „Głęboki zwiad” Krona, oraz sztuki historyczne A. Tolstoj, Samedy Wurguna, Szalwy Dadiani.

Tymczasem redaktorzy i krytycy — pisze Simonow — przystępując do ponownego wydania sztuk lat dwudziestych i trzydziestych lub też wypowiadając się na ten temat zachowują się jak gdyby mieli do czynienia z czymś, na czym się można sparzyć i już z dawna w wszelki wypadek dmuchają w palce. W ten sposób nie znalazły ostatnio miejsca w wyborze dzieł Afinogenowa znakomite jego sztuki „Strach” i „Dziwak”. Sztuki te nie są włączane na nowo do repertuarów teatrów. Ponadto w praktyce sformułowała się tendencja wygładzania i lakierowania przeszłości bez względu na konkretną sytuację historyczną. Powstały jakieś ahistoryczne kanony, które powodowały, że jeżeli autor podejmujący powieść temat z okresu lat trzydziestych przedstawiał zgodnie z prawdą historyczną budowniczych pierwszej pięćdziesiąt, ukazując w ich środowisku elementy przeżytków, żywołowości i walkę z tymi zapóźnieniami w ich świadomości — to był często posądzany o wszystkie siedem grzechów głównych — a więc o naturalizm, fałszowanie itd.

Należy dodać do tego, że sztuki pióra wielkiego klasyka radzieckiego Majakowskiego nie znalazły dotąd należytego opracowania na scenie. Mowa tu o jego znakomitych satyrach „Łaźnia” i „Pluskwa”.

Nie miałoby sensu kanonizowanie każdego słowa tych utworów, nawet jeżeli chodzi o Majakowskiego, ale można je pokazywać dzisiejszemu widzowi i to bez żadnych przeobrażeń i przykrawań, bez mechanicznego podgania tego co było wówczas pod to, co jest obecnie. Problem ten ma znaczenie nie tylko dla dramaturgii, lecz w ogóle dla całej literatury.

Zwracając się ku własnemu podwórku musimy stwierdzić u siebie zbyt wiele braków i niedomagań w zakresie przyswojenia repertuaru sztuk radzieckich okresu lat dwudziestych i trzydziestych. Sztuki te mogły przecież i mogą oddać nam wielkie usługi, wypel-

nając nieraz skutecznie puste przestrzenie i matki współczesnej w rodzimej dramaturgii.

W polityce — nawet teatralno-repertuarowej potrzebna jest śmiałość inicjatywy, zdecydowana odwaga własnych poglądów a przede wszystkim dialektyka myśli. Trzeba się przyznać, że nie próbowa- liśmy samodzielnie przejrzeć stronic dramaturgii radzieckiej minio- nych lat. Zdawaliśmy się wyłącznie na krytyków radzieckich — „oni wiedzą doskonale co dzisiaj grać, a czego nie”. W ten sposób pozostawiali nam cztery żelazne gwoździe klasycznego programu tej dramaturgii. „Tam nie grają, to czemu my mamy to robić?”. Oto pogląd, dzięki któremu nie widzieliśmy dotąd bardzo dla nas aktualnego dramatu Afinogenowa „Dziwak”, nie ujrzelśmy też na naszych scenach z talentem napisanej komedii W. Katajewa „Naprzód, czasie!”, sztuk Majakowskiego i wielu innych dramatów, które miały i mają u nas jeszcze dużo do obie- nia.

To jedna strona zagadnienia. Druga — to pretensja pod adresem krytyki. Dotąd nie spotykaliśmy prac, które by w sposób źródłowy i głęboki omawiały dramaturgię radziecką pierwszych pięćdziesiąt, pokazywały jej drogi rozwoju, jej problemy teoretyczne, osiągnięcia, i co nie mniej ważne — błędy, zagubienia mogące być przestrogą i instrukcją w pracy naszych twórców. Nie znamy dotąd zupełnie materiałów z ważnych dla nas dyskusji na te tematy, które poprzedziły I Zjazd Pisarzy Radzieckich.

## JESZCZE O LAKIERNIKACH

Simonow zajmuje się dalej zagadnieniem prawdy o życiu ludzi radzieckich w dramaturgii lat ostatnich. Niedawno jeszcze pojawiała się tu, to ówdzie myśl głosząca przez wielu krytyków i pisarzy, że ukazując życie w procesie rozwoju należy przedstawiać ludzi nie takimi, jakimi są, lecz takimi, jakimi być powinni. Ten postulat wysunięty wobec literatury — aby „widział” i podkreślała w ludziach to co nowe, przodujące — przemieniała się w żądanie przedstawiania tylko nowego, tylko przodującego. Nic więcej, że prowadziło to do fałszowania prawdy życia. W ten sposób ukazywały się sztuki, gdzie lepsze ścierało się z tylko dobrymi i najlepsze z doskonałymi. Przejawiała się w tym tendencja przemieniania trudnego do zbadania, poznania i przedstawiania burzliwego i żywego nurtu życia „w jakąś destylowaną wodę, z której wyparowały wszystkie mikroby przeżytków”. Między tą tendencją a teorią bezkonfliktowości istnieje jak najściślej związek. Simonow w ostrych słowach osądza lakierowanie sprzeczne z dialektyką i samą prawdą życia, uwnioślanie jego do poziomu cichej pogodnej błogości, której nie mają żadne konflikty i cienie.

Jednym z centralnych zagadnień referatu Simonowa stał się problem sztuki tworzenia charakteru bohatera pozytywnego. Wiele się pisze na ten temat, wiele się publikuje artykułów teoretycznych. Niestety, najczęściej sprawa zostaje sprowadzona niemal do synonimu ikony. W sztukach spotyka się zjawiska podobne — apoteoza dochodzi do zaprzeczenia prawdy ludzkiego charakteru. Chodzą więc po scenie surrogaty bohaterów pozytywnych, istniejące tylko jako funkcje dobra, szlachetności itd. Simonow wyjaśnia, że nie należy bohaterów pozytywnych utożwiać jako ludzi absolutnie idealnych. Nie trzeba też „dodawać bohaterowi pozytywnemu ciepła, powinien mieć on swoją własną temperaturę”. Zainteresowanie widza dla bohaterów nieuchronnie stabilne w wypadku, jeżeli spostrzeż on, iż autor uprzednio już wszystko rozstrzygnął sam w zastępstwie bohatera i że bohater ów nie jest nim w istocie, lecz tylko czymś w rodzaju odpowiedzi wydrukowanej na końcu zbiorku ćwiczeń arytmetycznych. A czytelnik szuka w sztuce nie zwycięzkiego, z góry danego rozwiązania, lecz odpowiedzi, która rodzi się na jego oczach, a to znaczy, iż widz oczekuje od dramaturga rozwiązania zadania w jego obecności. Żywy bohater, o bogatym pełnym charakterze, to zawsze postać o pogłębionej psychologii. Tymczasem „krytycy zbyt często nazywają normalne przedstawienie duchowego życia człowieka psychologizowaniem. W próbach przedstawiania postaci pracowników partyjnych, niekiedy spośród naszych dramaturgów miesza się pojęcie przyczyny i następstwa: wynika z tego, że człowiek jest dobry, dlatego, że jest sekretarzem. A w rzeczywistości wszystko ma się na odwrót”. W tych nieporozumieniach i błędach dostrzega Simonow znaczny udział krytyki, która niejednokrotnie wychodząc z założenia wulgarnego, natrętnego dydaktyzmu żądała podobnych idealizacji.

Z innych problemów, którym uwagę swą poświęca w referacie Simonow należy wymienić zagadnienie konfliktu dramatycznego. Domaga się tu Simonow równorzędnej gry partnerów, bez uprzedniego sygnalizowania jej wyniku, obrusza się na rozprzestrzenioną

manierę przedwczesnej samokompromitacji bohaterów negatywnych.

Wreszcie w ostatniej części podejmuje Simonow „rozrachunek” z krytyką teatralną. Stwierdza, że wciąż jeszcze „nie może się ona rozstać ze swym wulgarno-dydaktycznym bagażem”. „Zdecy- wszystkim z pola jej uwagi giną zagadnienia specyfiki sztuki. Przy tym postępuje się ona scholastycznymi formułami. Tymczasem właśnie na krytyce ciąży poważne obowiązki troski o rozwój dramaturgii: „Krytyk teatralny winien być trybunem odwagi twórczej w dramaturgii, rzecznikiem oryginalności artystycznej nowych jej utworów. Krytyka jest też w szczególności odpowiedzialna za stan komedii radzieckiej. Musi jej poświęcać wiele uwagi i troski, ponieważ do niedawna gatunek ten był szczególnie zaniedbany”.

W zakończeniu referatu Simonow wypowiada słowa wiele znaczące, które wiążą się z cytowaną już wypowiedzią Ochłopkowa.

„Należy witać nowatorskie poszukiwania w dziedzinie formy dramatycznej, witać odwagę a nawet zachwiałwo w tych dążeniach bez obawy przed wszelkiego rodzaju momentami spornymi i podlegającymi dyskusji, o ile tylko znajdują się w sztuce z d r o w e z a s a d y i d e o w e, jeśli oczywiście jest wnikliwość i talent autora. Naturalnie, dotyczy to nie tylko form dramaturgii, lecz i nowatorskich prób w dziedzinie formy sztuki reżyserskiej w trakcie opracowywania przedstawienia”.

## WNIOSKI I NOWY GŁOS „PRAWDY”

Po referacie K. Simonowa głos zabrał B. Lawreniew, omawiając i rozwijając szereg problemów podanych przez pierwszego referenta i nadając im kształt praktyczny, opierając je o propozycje organizacyjne, zmierzające do tego, by skończyć z administrowaniem w sprawach twórczości.

„Prawda” tuż po plenum raz jeszcze zabrała głos w tej dyskusji, dając nadzwyczajną wagę podsumowaniu dnia 3.XI. br. Tenorem artykułu „Prawdy” jest myśl niedostatecznie na plenum podkreślona, a dotycząca celu namietnej walki radzieckich dramaturgów przeciwko wszystkim przeszkodom hamującym rozwój teatru i dramaturgiarstwa. „Prawda” podkreśla, że przeszłość te są i będą usuwane właśnie po to, aby zwielokrotnić a k t y w n y w p ł y w teatru na życie, aby dramaturgowie i ludzie teatru byli w stanie nie tylko ilustrować, lecz pokazywać i rozwiązywać na scenie najistotniejsze, najbardziej palące problemy trapiące ludzi radzieckich w ich codziennym, burzliwym, pełnym patosu i walki życiu. Czytamy: „Aktywne wdzieranie się w sprawy życia — jest hasłem bojowym sztuki realizmu socjalistycznego”. I dalej: „Ilustracyjność — oto grzech dramaturgii”. I zaraz obok: „Nie opiewać po prostu nowe życie, a walczyć aktywnie o nie, śmiało demaskować wroga ideologicznego, palącym słowem satyry wypalać go w życiu — czy nie to jest właśnie powołaniem radzieckiego artysty!” „Prawda” przypomina, że celem koniecznej walki o jakość, o bogactwo języka, o swobodę metody twórczej, o oryginalność i nowatorstwo teatralnego kształtu każdej sztuki — jest wzmoczenie społecznych funkcji dramaturgii i teatru. Właśnie w imię tej sprawy przyszedł czas, by bez żadnych kompromisów i pozbawiania rozpraw się z każdym starym schematem, biurokratycznym przyzwyczajeniem, z każdą przeszkodą i każdym pozornym autorytetem, przeszkadzającym nie w jakimś abstrakcyjnym „rozwoju” ale w konkretnym, artystycznym dojrzaniu wykonywaniu aktywnej, społecznej misji teatru „Prawda” zwraca szczególną uwagę na konieczność zaostrezenia kryteriów krytyki teatralnej, stwierdza, że na plenum za mało jeszcze było „ostrej i zasadniczej krytyki istotnych przeszkód hamujących rozwój dramaturgii”.

Dyskusja radzieckich towarzyszy posiada dla nas wiele wartości instruujących; ich przedyskutowanie mogłoby skutecznie oczyścić atmosferę zamętu teoretycznego dającego się wciąż jeszcze we znaki krytykom i twórcom. Możemy z niej wynieść korzystne nauki.

Błędy i wypaczenia w ZSRR wynikały przecież z pionierskich poszukiwań. My zaś pracowaliśmy często w atmosferze amnestionowania samych siebie od wysiłku samodzielnego myślenia. Te błędy i potknięcia rozdziły się z — nieswiadomego najczęściej — dogmatyzowaniem rzeczywistości. I to niewątpliwie było i jest jednym ze źródeł niepokornego jeszcze dotąd zjawiska schematyzmu. A ponadto, powiedzmy to dzisiaj głośno, zbyt często dawaliśmy łatwy posłuch głosom krytyków utemperowanych, ignorując własne głosy słuszne i śmiałe.

Dlatego, dyskusja tocząca się w Związku Radzieckim jest w wysokim stopniu również i naszą dyskusją. Od nas tylko zależy, czy będzie ona również i nam pomocna.

Wiatry są przyjazne. Bierzmy je w żagle!

Waldemar Kiwilszo



## P R Z E Ł O M

Z TRZECIEGO TOMU „STAREGO I NOWEGO”

Zebrał się na jutro wieczorem przy dwóch zastawionych stołach, nakrytych wykwintnie. Między kwieciami stały butelki z żytnią, winem, spirytusem, wędliny, ser, pieczywo i dziesięć lśniących nakryć.

W ogólnym ruchu i szmerze powitań słychać głos Rubinsztajna:

— Aa, zupełnie jak w „Uczcie” Platona!

— Zaszczycają nas przeciw mędracy! — odpowiadają z powagą Gronowski, i w roli marszałka zaczyna usadzać najbardziej dostojnych gości tuż przy Kownackim, który już zajął miejsce prezydyjne. Leczą Tolwiński z prostotą jak u siebie w domu, siadają przeciwległym końcu, a ja z Rubinsztajnem tuż przy nim, po obu stronach stołu. Utworzyły się dwa prezydyjne ośrodki z dwoma powagami o biegunowo różnych dążnościach i formach obcowania.

Zastawa na stole wzbudziła w nas niechęć. Zdawało się nawet, że zaledwie dotknienie jejzenia i picia, żeby demonstrować nie obrażać gospodarzy, lecz po toastach za Polskę i nomalność ludu polskiego nastroj się rozjaśnił. Olejniczka, siedząca już swobodnie jak w barze, szepnęła mi ucuciuowo:

— Nie krępuj się, nasze: fornale na to pracowali.

Tolwiński udzielał się żywo, lecz przejawiał dystans jak mądry ludzki proboszcz na chłopskim weselu. Reszta naszego towarzystwa podciągała się do jego bycia. Szlachta kałiska odczuła, że ma przed sobą przedstawicieli nowej kultury.

Po kilkunastu minutach rozmowie o rzeczach bytu codziennego, przemówił głośnie, do wszystkich, sędzia Gronowski wymawiając z lekka „h” zamiast „r”:

— Iroszę panów, czasem dopiero niewiela uczy nas solidarności. Tam za murami wydawało się, nie może być między nami porozumienia, tu siedzimy za jednym stołem reprezentując jakby całe społeczeństwo, tylko chłopów brakuje...

— Jestem bardziej chłop niż robotnik. Znam potrzeby chłopskie — oświadcza dobitnie Olejniczka.

— Wiemy, wiemy — potwierdza drwiąco Kownacki — czytujemy wasze „chłopskie” odczyty!

Śmiejemy się wszyscy. — W takim razie — mówi z udanym zadowoleniem Gronowski — jesteśmy kompletną reprezentacją a to tym bardziej, że i my wiemy, czego ludowi brakuje...

— Moralność! — podpowiada Olejniczka i znówu wszyscy się śmieją, z wyjątkiem mówcy, którego oblicze kamienieje powagą:

— Moralność nie można bagatelizować, moralność jest podstawą zdrowego działania. Kto widzi tylko siebie i wrogów, przeważnie z urojenia, a nie odczuwa potrzeb kraju, podkopuje własną przyszłość. Bicie na przykład bezkrytyczne w „obszarników” wywoła obniżenie plonów i trudności żywnościowe w mieście, najcięższe dla robotnika. Chłop sieje przede wszystkim dla siebie.

Olejniczka uśmiecha się drwiąco, widać, że chce przegwoździć mówiącego ostrym zdaniem, lecz poślizgnięciu nastroju Tolwińskiego i potakiwaniu Rubinsztajna zniechęla go do powściągliwości. Gronowski mówi bez przeszkód:

— Moi panowie, to że mogliśmy się tu zebrać dowodzi, że przy dobrej woli i odpowiednim poziomie kultury można znaleźć wspólny cel, a nawet wspólną drogę. Stawiamy przecież, mimo różnic, jedną rodzinę. Miewał w zatargi między sobą, lecz w razie potrzeby musimy być jednością. Jednością, w której każdy stan zajmie miejsce w zależności od swej wagi w społeczeństwie, kultury i wyrobienia. Proszę panów, rozumiemy wielkość naszego ludu. Pod tym względem jesteśmy ludowcami, lecz nie zapominać o płynności warstw ludowych, przecież tworzy się dopiero z nich społeczność stała, obywatelska. Zanim dojrzędzie do udziału w kierownictwie, obywateli to spadają na warstwy wykształcone, a przede wszystkim na ziemianników... Przepraszam, przepraszam, zaraz uzasadnię — uprzedzał nasze protesty. — Rolnik, bezpośrednio związany z ziemią, odczuwa odczucie najgłębiej. Stąd przywiązanie do niej, stąd patriotyzm...

— No no, nie ma patriotów nad ziemianstwu! — wtrąca Stecki cicho, niemal szeptem, lecz słyszą go wszyscy.

— To się rodzi jak pszenica — wyjaśnia Kownacki, a Olejniczka dodaje:

— Tym obficie, że sieją i zbierają dla patriotów chłopci.

Sędzia spogląda na wszystkich z powagą, chce powiedzieć coś ważkiego, lecz cichy głos Steckiego nabiera wyjątkowej siły. Ten ludowizm szlachcki, przypominający rozumowanie spiskowca z roku 1848, zamknęły w sobie i zdawałyby się nieobecne, nieoczekiwane samą tonacją głosu zmusza do uwagi.

— Łaskawy panie dobrodziej — zwraca się do Kownackiego — jeżeli patriotyzm rodzi się jak pszenica, to czym wytłumaczyć udział

polskiego ziemianstwa w budowie pomnika Murawjewowi - Wieszałielowi w Wilnie?

Pogardliwie drwią, ton potęgowal tręś pytania do zniewagi, to- też dopiero po pauzie niemego o- burzenia Kownacki starał się od- wodnić wyjątkowość aktu wileń- skiego, „odnostkowy raczej udział w nim szlachty niż zbiorowy:

— Nie podzielim klasowej nomenklatury — kończy — nie sądzę o robotnikach według zdrajców, od których się roi w robotniczych organizacjach. Nie ma reguły bez wyjątku.

— Słusznie — odzywa się Rubinsztajn — wyjątki się zdarzają, lecz wyjątkowość jest różna. Niedawno jeszcze robotnik uważał nędzę za dopust boży. Ci, co znali jej źródło, byli w tym czasie wyjątkiem. A patrzcie, panowie, ta wyjątkowość wzrastając objęła ogromną większość pracujących i ustaliła nową regułę. Teraz wyjątkiem jest biedak, co zamiast walczyć z wyzyskiem, modli się o jego zniesienie...

— O, pod tym względem znakomicie lud oświecił! — przerywa Kownacki. — Przyszli do mnie w delegacji z żądaniem moi własni fornale oberwani do niepoznania. Podobna maskarada objęła całą okolicę, przygotowali jak agitatorzy z miasta dla udowodnienia wyjątkowości nędzy służby folwarcznej. Co, taka szkoła szybko przekształca wyjątki w powszechność.

— Rzekniesz, panie — dopowiada z powagą Galecki — nie mogliśmy dociec, skąd oni tyle naraz, panie, horendalnych łachów nabrali.

Patrzymy na patriotyczne ziemianstwo i śmiejemy się żółciowo, jeno Olejniczka nie opuszcza humor:

— O, fornale to obłudnicy! — wykrzykuje, naśladując ton Kownackiego. — Kartofli zią więcej niż świnie, a mówią, że są głodni.

— Co jest wyjątkiem wśród ziemianstwa — mówi dalej Rubinsztajn — doskonale wyjaśnia Julian Marchlewski, nasz towarzysz, nota bene pochodzący ze szlachty... — Z jakiej znówu szlachty?! — pyta przepraszając Kownacki.

— Niech pan będzie spokojny! Nie z jerozolimskiej, z polskiej — odkrzykuje Olejniczka.

— Są i tacy u was?!

— Są — potwierdza spokojnie Rubinsztajn — i to oni właśnie reprezentują teraz postępową, patriotyczną wyjątkowość wśród szlachty, która mówi patriotycznie, lecz w postępowaniu jest obojętna narodowo...

— Dowody! Prosimy o fakty!

— Słuchaj panom, typowy — dla wszystkich trzech zaborów...

— Hm, coś miążdzącego — mruknął Kownacki drwiąco, lecz głos jego wbrew intencji, wzmościł napięcie. Zapanała cisza jak w sądzie przy zeznawaniu decydującego świadka.

— Tak niedawno jeszcze — cytuję Rubinsztajna — nacjonalistę niemieckiego wypędzili z Prus Wschodnich czterdzieści tysięcy chłopów polskich. Wydziedziczonych starców, kobiety brzemiennie i dzieci ponagliano do pośpiechu bagietami i kolbą. Utworzono komisję kolonizacyjną do odebrania Polakom wszystkich ziem. I cóż, jaka reakcja? Wkrótce potem Koło Polskie w parlamencie Rzeszy, złożone z ziemian, występuje solidarnie z tyra zbr dniarzami nacjonalistycznymi przeciw ludowi polskiemu i niemieckiemu. Gdzież tu patriotyzm, gdzie godność narodowa?!

— Daj, kiedy się to działo?!

— Stale się dzieje — odpowiada Olejniczka. — Czyż nasza szlachta razem z burżuazją nie zabiegała o carskich satrapów o władzę do duszenia rewolucji?

— Za gorąco, mości kolego — wtrąca się sędzia z urzędową powagą — zbyt upraszcza pan sprawę. Anarchia do niczego nie prowadzi. Porządek potrzebny wszystkim...

— Porządek! — wykrzykuje drwiąco Olejniczka, lecz przerywa mu Kownacki:

— Wiadomo! Wolicie ruskiego niż polskiego policjanta.

— Wolimy milicję ludową, i postawimy ją u nas i w Rosji — oświadcza głośnie, iż nie trzeba, i wywołując zdziwienie endeków:

— Mówi pan jako pepesowiec?

— Mówi jak rewolucjonista — odpowiada za mnie Olejniczka — uczymy się, uczą nas fakty.

— Fakty, fakty! — obruszył się żywo Kownacki. Wstał gniewnie, wydawało się, że będzie mówić o- tając dla zaznaczenia ważności swego zdania, lecz po chwili rozsiadł się w krześle demonstracyjnie jak najwygodniej. — Fakty! Czasem mały fakt sterczy przed nosenizacją — inny wielki...

— Hm — mruknął Rubinsztajn — też dyalektyka.

— Fakty! — powtarza dziedzic w podnieceniu. — A przecież nie można ocenić żadnego — bez znamion — jego przyczyny. Niestety, mamy w Polsce dużo ludzi nieodpowiedzialnych za to co robią, a jeszcze bardziej za to, co mówią. Łatwiej rzucić oskarżenie niż trwać na placówce. Nie odmawiam nikomu prawa do marzeń, o powszechnym szczęściu w przyszłości, lecz

przeciwdziałam i będę przeciwdziałał burzeniu szczęścia istniejącego, dzisiejszego. Moi ludzie szczęśliwi byli do niedawna ode mnie, a obecnie, pod wpływem szerzącej się utopii, codziennie więcej pragną, coraz bardziej są niezadowoleni i nieszczęśliwi. Pod wpływem światowej utopii zubożenieli na potrzeby narodowe. Oto, jak ludzkość zasłania Polskę. Tak, istnieją fakty ugody, trzeba się czasem cofnąć dla przygotowania obrony, to konieczne. Byłoby źle, gdybyśmy wszyscy patrzyli w bezkresy. Jesteśmy ograniczeni potrzebami ojczyzny i wyciągamy z tego konsekwencje.

pozwała podnieść wyżej głowy... Zagadnienia mniej ważne zasłaniają ludziom sprawy istotne. Tylko jednostki silniejsze umieją się przebić ku sprawom dalszym i n dalszym...

Kownacki poruszył się na krześle:

—Nasz język! Należy mieć na względzie wyższe cele, nie dziesiątkę!

— Nie rubla, lecz co najmniej tysiąc! — dopowiada Olejniczka ku ogólnej wesołości.

— Niestety — uśmiecha się Tolwiński — co do wspólności naszego



Rys. W. Symonowicz

Śmiejecie się, chcecie mi pewno zacytować drwiąco spór zółwia z myszą o domku ciasnym, ale własnym. Odpowiem francuskim przysłowiem: Kto chce wszystko o- bjać, nie obejmie nic. Ziemianstwo tkwi głęboko w polskiej ziemi. Stąd płynnie jego siła, przewaga i ciężki obowiązek.

Kownacki mówił w rozdrażnieniu, chwilami przebiegał w jego głosie hamowany gniew, co i w nas wywoływało napięcie. Mnie z oburzenia serce mocniej zabiło, gotowałem się do krzykliwego pytania: „I cóż ta siła i przewaga ziemianstwa zbudowała, niewiele?!” Olejniczka potrząsając głową, miał w pogotowiu coś bardziej ważkiego, lecz uprzedził nas Tolwiński głosem spokojnym, o całą oktawę niższym niż głos Kownackiego:

— Moi panowie, dużo się teraz mówi, zwłaszcza w środowisku literatów i naukowców, o subiektywizmie i obiektywizmie. W gruncie rzeczy wszelkie sądy uzależnione są od sposobu życia sądzącego. Pan Kownacki bardzo pięknie przedstawił rzeczy małe, zasłaniające — wielkie. Brzemie codziennych, drobnych spraw często nie

języka należy zachować dużą ostrożność. Słowa naród, ojczyzna, utopia najbardziej się teraz pojęciowo znieszkala. Przystosowywanie się do niewoli jest rozumne i realne, aż nabył realne, walka o wolność — utopia! W więzieniu zbudowanym przez Prusaków pilnują nas polscy chłopcy w carskich mundurach, oto wynik starej cnoty szlachkiej: pilnowanie zapiecka, u- tożsamianie granic Polski z granicami swych folwarków, a interesów państwowych z własnymi wygodami. Z bólem myślę o historii Polski, ale to już przeszłość. Teraz sprawy narodowe bierze w ręce lud z robotnikami na czele. Uśmiechy panów rzeczywistości nie obrażają. Jest nas w Kongresówce pół miliona...

— No bo, czy pan też robotnik? — Umysłowy.

— Przy takim rozciągniętym terminie można by całą ludność Polski zaliczyć do robotników.

— Niewiele odbiegliśmy od prawdy — odpowiada poważnie Tolwiński — Żyjących z cudzej pracy mamy stosunkowo mało i stąd między innymi czerpiemy pe-

z czym się zetknęłam. Bije z nich wielka siła, wielka powaga w traktowaniu wszystkich spraw życia, wielka śmiałość w myśleniu i działaniu. Postrzega się w nich nieograniczoną prawie zdolność i wolę dokonywania wysiłków, a jeśli trzeba — znoszenia wyrzeczeń, a jeśli trzeba — ponoszenia ofiar. Nie ma w nich nic mętnego, niezdeterminowanego, połowicznego. Cechuje ich pewność obranej drogi i dobre samopoczucie obywateli mocarstwa u- miejącego realizować potężne cele i odgrywać wielką rolę na świecie.

Te kilka spostrzeżeń i refleksyj to cząstka tylko drobna myśli i uczuć powstających przy krótkim zetknięciu się z krajem potężnych rzeczywistości i równie wielkich możliwości. Pewno będę jeszcze kiedyś do tych przeżyć powracać. Na razie, pożegnawszy malowniczą, burzliwie dynamiczną Mc'cwę, precyzyjnie piękny, elegancki Leningrad i romantycznie czarujący Kijów — a chciałoby się rzec i parę słów podziękować dla niesłychanej gościnności i serdeczności, z jaką nas wszędzie przyjmowano — powracam — na długo — do moich przerwanych prac pisarskich, których stan obecny wymaga całego mego czasu i wszystkich moich sił.

Maria Dąbrowska

Dalsze wypowiedzi w dyskusji o literaturze dwudziestolecia w następnym numerze

wność w naszych dążnościach. Te pół miliona to robotnicy wielko- przemysłowi, najbardziej świadomi historycznych potrzeb i konieczności, to oddziały kadrowe, coś jak armia przy powszechnym obowiązku wojskowym...

— Huraganowy otyzmizm! — wtrąca Kownacki.

— Rzekniesz, gdyby nawet wszyscy — dopowiada Mystkowski — wypadałoby pięciu na sto.

— Jeden na sto wystarczy! — oświadczam z całkowitą równością siebie. — Ludzie wiedzą, co ich boli, szukają lekarstwa.

— Wiemy, wiemy! — drwi Kownacki. — Podbił pan sobie, podobno, wszystkich kryminalistów!

— A to przecie nie były indywidu- liści! — dodaje Olejniczka.

Wesołość, nastroj się poprawia. Korzystając z tego sędzia Gronowski wznośli toast za cele najwyższe, wspólne wszystkim.

— Rozczula mnie wspólny cel z nimi — szepcze mi Olejniczka, lecz pijemy, bo starsi towarzysze podnoszą swe kubki w dobrym humorze.

— Chętnie spełniamy życzenie pana sędziego — mówi dalej Tolwiński. — My w pracy codziennej i w planach na jutro kierujemy się celem najwyższym jak żeglarze busola...

— Idzie tylko o to, co będziemy uważać za cel najwyższy — wtrąca Kownacki.

— Mówiłem o celach najwyższych w ogóle — odpowiada Gronowski. — Ludzie o wyższych dążnościach, nawet różnych, mają wspólny język, łatwo się porozumiewają.

— Toną we mgłę gadania — odpowiada Olejniczka ku ogólnej wesołości.

— Dobry obraz — mówi dalej towarzysz Konstanty. — Tak jest, cel najwyższy w ogóle, cel w nieskończoność rozpuszcza się we mgłę mistyki, nie zobowiązuje do niczego, nie może służyć do wytknięcia drogi. Proszę sobie wyobrazić jak ubogo wyglądałaby nasza wiedza, gdyby ziemię otaczała jednolita biała atmosfera nie pozwalająca widzieć gwiazd, słońca, planet. Przecież nasz stosunek do nich, u- gruntowany doświadczeniem, jest fundamentem nauki. Im do dalszych gwiazd, czy zbiorów gwiazd- nych docierają teleskopy, tym szerzej poznajemy wszechświat i głębiej sprawy ludzkie. Podobnie dzieje się w organizacjach państwowych i społecznych. Tylko te państwa rozwijały się i rosły w siłę, w których klasy rządzące dalej widziały przyszłość. Szlachta rosyjska lepiej ją widziała niż nasza...

— Przemoc, nie lepsze widzenie! — przerywa sędzia przy potakiwaniu reszły endeków.

— Przemoc opiera się na sile rosnącej z pracy i organizacji — odpowiada Tolwiński wolno z naciskiem przy skupionej uwadze wszystkich. — Przemoc wsteczna, rozbija się o siłę nieraz mniejszą, lecz postępową. Ale siła ta musi tkwić w społeczeństwie i mieć warunki rozwoju. Nasza szlachta, zasklepiona we własnych najbliższych interesach, nie umiała jej skupić. I teraz po stu pięćdziesięciu latach doświadczeń uprawia się starą politykę. Dowodzicie panowie, że nasze dążności międzynarodowe przeszkadzają pracy w kraju, zalecać pilnowanie domu. Ale takie postępowanie spowodowało zacofanie i rozbiór państwa i niewolę...

— Przepraszam, kilka słów wyjaśnienia! — wystąpił Kownacki, hamując oburzenie. — Nie jesteśmy zwolennikami — jak to pan powiedział? Aha, mgły mistycznej. Mówmy konkretnie. Ganiecie przodków za parafianstyczne, uzależnianie politykę narodową od stosunków międzynarodowych. Dobrze, trzeba się liczyć ze światem. Ale świat można sobie zasłonić urojeniem jak nasi przodkowie przypie- kani. Mówicie o horyzoncie międzynarodowym, a naśladujecie ruską anarchię. Dlaczego nie patrzycie szerzej, dlaczego nie bierzecie za przykład robotników angielskich, niemieckich. Trudno się wzorować na poddanych Menelika, przyswajając nam kultury wyższe...

Słucham i przypominam mi się żywo siódmy zjazd Polskiej Partii Socjalistycznej. Narodowy socjalista, pilsudczyk Aleksander Malinowski i burżuj nacjonalista Kownacki mówią jednym językiem. Spoglądając na drogę przebytą w ciągu dwudziestu czterech lat, widzę kilka rozstai i tych, którzy albo wskazywali dobre wyjście, albo wpłynęli na jego wybór.

— W pięknym towarzystwie byłbym — myślę, patrząc na obszarnika i odczuwam gorąco wdzięczność do mych świątłych przewodników, poczynając od nauczyciela a kończąc na Tolwińskim, który właśnie patrzy na mnie wymownie:

— Tak, „prawę” postawił pan istotnie jasno — mówi do Kownackiego z lekko przebijającym się uśmiechem. — Nie mam żadnego wspólnego celu, nawet patrząc szerzej na świat. — Pauza, oblicze towarzysza tężeje powagą. — Gdy przed stu laty trzeba było brać przykład z Francji, magnaci trzymali się za spódnice Katarzyny II, gdy teraz w Rosji lud zaczyna zajmować kierownicze stanowisko w

postępie światowym, zachęca się do naśladowania zachodniego zastój. Darnie usiłowania. Naród polski żyje, rozwija się, korzysta z doświadczenia. Jeżeli szlachta i mieszczactwo nie umieli zjednoczyć sił do zniszczenia możnych zdrajców i najeźdźców, to obecnie lud nasz raz m z ludem Rosji, ma wszelkie warunki do zdobycia wolności. Postęp płynie teraz ze Wschodu czy się to komu podoba, czy nie podoba...

— Nasza kultura, proszę pana — próbuje łagodzić rozbieżność sędzia.

— Czyja kultura? — przerywa Tolwiński wypowiedzenie wytartego zdania — przyjrzyjcie się, panowie, dobrze naszym więźniom kryminalnym, obrazującym kulturę naszych wsi i przedmieść...

Często się mówi o jakiejś naszej nadzwyczajnej cywilizacji w przeciwieństwie do Rosji — Tolwiński musnął wzrokiem Steckiego — Zwykła megalomania. Zawsze klasa panująca powołując się na jakiś wyższy, piękniejszy okres historii, który dawno jest przeszłością, przedstawia swe dzisiejsze zacofanie jako szczyt kultury. Rozumiem wyjątkową wielkość Anglii w wieku XVII...

— Co, Anglia i teraz jest wielka — wtrąca Kownacki.

— Proszę zapytać Hindusów, co o tej wielkości myślą. Imponowała całemu światu wielkość Francji w XVIII wieku. Mieliśmy i my piękną kartę. W ciągu połowy ubiegłego stulecia Polak był synonimem rewolucjonisty...

— Dużo to Polskę kosztowało — ubolewa sędzia.

— Wkład narodowy na fundusz całej ludzkości, rzeczywisty tytuł do dumy. Przyszłość teraz okres międzynarodowej wielkości Rosji — ogólne poruszenie. — Petersburg to ośrodek ogromnej energii rewolucyjnej. Jądro robotnicze staje się autorytetem przeważającą większość narodu do tego stopnia, że nawet wrogowie rewolucji, dla o- szukiwania ludu, muszą się posługiwać frazeologią rewolucyjną, podobnie zresztą jak u nas. Iluż mamy obecnie socjalistów! A demokraci są wszyscy. Ale niebawem nie wystarczy ludzian nazwa, za- interesuje ich treść, i tu się okaże, że nawet obłudne głoszenie naszych hasel służy rewolucji. Ogromna większość inteligencji rosyjskiej — miliony — wypowiada się przeciw carowi. Oczywiście, znaczna jej część — burżuazja lub na służbie burżuazji — poprzestając na obaleniu samowładztwa, zgodzi się nawet na Mikołaja z ograniczoną władzą, ale gdzież jest siła, która by mogła powstrzymać masy, prowadzone przez teoretyków rewolucjonistów światowej miary? — Wyższa kultura to nieo hamowany rozmach w postępie, a pod tym względem Rosja zaczyna zajmować pierwsze miejsce w świecie...

— A my, my, łaskawy panie — przerywa drwiąco Kownacki, urażony w dumie narodowej.

— Nie zostajemy w tyle. Polska klasa robotnicza idzie w jednym szeregu z ludem Rosji.

Patrzyłem na towarzysza wzrokiem zakochanego, a na obszarników z dumą: „patrzcie, jacy jesteśmy, spróbujcie oponować!” Rozumowanie Tolwińskiego było o- statnią kroplą, która dopełniając świadomość, spowodowała nowy przełom. Przygotowały mnie do niego dyskusje z Olejniczką i Rubinsztajnem oraz „Izweled Socialdemokratyczny” z felietonami Jana z Czerniakowskiej, które czytałem z zachwytem. Ale mocny sznur lewicowego pepesizmu trzymał na uwierze. Przecież Tolwiński jest pepesowcem, myślałem, a mów podobnie jak endecy. Stopniowo cała partia się przekształciła. Tak, jest wiele do zmiany, lecz są również różnice, które należy zachować. Jesteśmy jednak socjalistami polskimi — w Polsce. Nasza przemyśl... (zaśniedziały tok myśli). I oto w dyskusji z nacjonalistami towarzysz obala wszelkie wątpliwości. Anglia była dla mnie bezsprzecznie bogata i wielka, a Tolwiński przeczy temu i mówi o jej prawdziwej, rzeczywistej wielkości kulturalnej w czasie, kiedy była znacznie mniej a. Megalomania narodowa... Uważałem się od roku za rzeczywistego marksiste, niech no by kto powątpiewał! (z jakiego punktu?), a nie rozumiałem rzeczy najważniejszej — dyalektyki materialistycznej. Czytajcie dziko, co spotkałem, bez wyboru, nie było z czego wybierać, i bez ideowego kierownictwa, przejąłem się burżuazyjnym ewolucjonizmem. Jeżeli coś gdzieś, kiedyś było wielkie, to mimo pewnych zaburzeń w rozwoju, pozostało takie na zawsze. Blask rozwoju nie pozwalał dojrzeć obumierania, ruchów wstecznych.

Przez całe życie dojrzweliśmy do zrozumienia nowej prawdy i zawsze przy pomocy jej światła dokonujemy korekty prawd poprzednio zdobytych. Przemówienie Tolwińskiego oświeciło sprawę najbardziej mnie wtedy interesującą i wywarło na me życie duży, ba, decydujący wpływ. A rozpoczął się wszystkim od decyzji natychmiastowej, indywidualnego przejścia do partii Róży Luksemburg i Dzierżyńskiego.

Lucjan Rudnicki



KRZYSZTOF TEODOR TOEPLITZ

# Głębokie korzenie stylu

Teatr im. Wachtangowa, który gości obecnie w Polsce dostarcza znacznie więcej dyskusyjnego materiału, niż da się go pomieścić w recenzji. Z drugiej zaś strony rozważania ogólne, nie dokumentowane konkretnymi przykładami na pewno nie są w stanie nikogo przekonać, ani też, co byłoby równie „enne, pobudzić do twórczego sprzeciwu. Spróbujmy więc podjąć konfrontację niektórych spośród założeń ogólnych tego teatru czy też refleksji na temat tych założeń z konkretnym materiałem, jakiego dostarczyło jedno, nie najbardziej zresztą reprezentatywne, przedstawienie zespołu teatralnego im. Wachtangowa — „Głęboko sięgają korzenie”, sztuki Jamesa Crow i Arnauda d'Usseau w inscenizacji R. Simonowa, reżyserii A. Gabowicz.

Teatr im. Wachtangowa jest, jak powszechnie wiadomo, jednym z czołowych teatrów radzieckich. Określenie to daje pewne ogólne pojęcie o jego charakterze, ale też bynajmniej nie wyczerpuje sprawy. Wizyty radzieckich zespołów teatralnych w Polsce, takich jak Leningradzki teatr im. Puszkina, jak teatr im. Mossowietu, zdolały już wszystkich chyba przekonać, że fakt, iż teatr radziecki ogólnie biorąc stanowi pojęcie w pewnym zakresie jednolite, nie przekreśla bynajmniej różnorodności stylów, założeń i oblicza twórczego poszczególnych zespołów, różnorodności rozwiązań realizacyjnych.

Teatr im. Wachtangowa, jak i działalność jego założyciela, zmarłego w r. 1922 wybitnego reżysera Eugeniusza Bagnatowicza Wachtangowa stanowią widome potwierdzenie tego zjawiska. Niektórzy nawet spośród teoretyków teatru radzieckiego w latach trzydziestych przywiązywali do owej odrębności stylowej teatru Wachtangowa tak wielką wagę, że gotowi byli nawet przeciwstawić ten teatr szkole Konstantego Stanisławskiego i MChAT-owi, mówiąc o „metodzie Wachtangowa”, przeciwstawnej w stosunku do metody Stanisławskiego. Ten kierunek poszukiwań nie znajduje uzasadnienia i, jak pisze radziecki teatrolog N. Abalkin, „nie-szczęście apologetów Wachtangowa polega na tym, że nie zdają sobie oni sprawy jak dalece zgubnym jest przeciwstawianie go Stanisław-

skiemu i Teatrowi Artystycznemu” („Sistema Stanisławskiego i sowieckiej teatru” str. 271, wyd. „Iskusstwo” 1930). Jest ono zgubne, bo nie wolno przeciwstawić teatru dążącego do realizmu — najstarszej i najmocniejszej spośród współczesnych szkół realistycznych w teatrze. Nie umniejsza to jednak w żadnym stopniu wagi samodzielnego poszukiwań Wachtangowa. „Wachtangow



Rys. J. Zebrowski Simonow

był uczniem Stanisławskiego, wybitnym i twórczym jego uczniem, co nie znaczy, aby nigdy i o nic nie spierał się ze swoim nauczycielem” — mówił na jednym ze spotkań po przyjeździe do Polski reżyser teatru Wachtangowa Ruben Simonow.

Na czym polegać mogły te spory? Niekiedy chodziło po prostu o błąd młodego reżysera, który przybył do I Studio MChAT-u w r. 1912, nie będąc jeszcze w pełni ukształtowaną indywidualnością twórczą i ulegając niekiedy nawet formalistycznym koncepcjom teatru Meyerholda. Z tego mniej więcej okresu pochodzą jego koncepcje „fantastycznej” czy też „teatralnej” rzeczywistości, daleko posuniętej umowności w dziedzinie realizacji, mającej przeciwstawić świat realny światu teatralnemu. Niekiedy przedmiotem tych sporów, choć w tym wypadku mówić trzeba raczej nie o sporach a o samodzielnym poszukiwaniach, była chęć szczególnie akcentowania przez Wachtangowa tych lub innych stron realistycznego systemu twórczego przez Stanisławskiego. Odnosi się to w szczególności do sprawy, którą wyraźnie akcentują wychowankowie Wachtangowa a nasi goście — Ruben Simonow i Boris Zachawa: Wachtangow kładł szczególny nacisk na tę część systemu Stanisławskiego, którą Stanisławski określał jako zadanie nad-naczelne (swierch-swierch zadaczka). Oznacza to więc nie tylko podporządkowywanie wszystkich elementów inscenizacji zasadniczej, naczelnej tezie sztuki, ale również wiązanie samej sztuki z ogólną sytuacją ideową, z zadaniami poza-teatralnymi, ogólnopolitycznymi, oznacza to akcentowanie tych elementów, które w danym okresie zyskują szczególną ideową aktualność, oznacza nieustanną aktualizację poszczególnych utworów scenicznych pod kątem bieżących potrzeb.

Na spotkaniu „Wachtangowców” z przedstawicielami prasy stołecz-

nej pozwoliłem sobie zadać naszym gościom pytanie, które, nawiasem mówiąc zostało ocenione przez niektórych spośród naszych towarzyszy jako „nietaktowne”; prosiłem mianowicie o próbę określenia przez samych „Wachtangowców” specyfiki ich stylu, odrębności twórczej sylwetki ich teatru, na tle życia teatralnego w ZSRR. Odpowiedź, której udzielił przedstawiciel teatru była nadzwyczaj interesująca. Nie mówili oni o specyfice, ale o tym co cenią w swoim teatrze, co starają się pielęgnować. „Cenimy wyrażenie, konkretną formę spektaklu” — oświadczyli na wstępie. Nie należy tego rozumieć oczywiście w ten sposób, że owa wyrażenia forma odnosi się do ściśle zewnętrznej strony widowiska. Chodzi tu przede wszystkim o to, że teatr ten lubi ostre, wyraźne kontury ideowe swoich widowisk, jasne, konkretne tezy. Potwierdza to zresztą w całej rozciągłości dobór repertuaru, z jakim przyjechali oni do Polski; wszystko to są sztuki o dopowiedzianym do końca sensie ideowym, zdecydowanie zarysowanych postaciach, dużym nerwie polemicznym w dziedzinie spraw politycznych i moralnych. Są to sztuki w pełni konfliktowe, nabrzmiałe dyskusją, starciem.

Teatr Wachtangowa za ważny element swego stylu uważa łączenie ze sobą dwóch nieodłącznych składników metody realizmu socjalistycznego — realizmu i romantyzmu. Oczywiście, są w jego repertuarze sztuki, w których przeważa ten lub inny pierwiastek — np. przewaga elementu romantycznego widoczna jest w „Dziwczyni o białych włosach”, podczas gdy pierwiastek realizm bierze górę w „Jegorze Bułyczowie”. Brak jednak pierwiastka romantycznego, tej nieodłącznej — powtarzając raz jeszcze — części realizmu, prowadzi do kształtu w konsekwencji do kształtu spłyconego, zwulgaryzowanego, graniczącego z naturalizmem, do tej metody, której zaprzeczeniem jest właśnie teatr im. Wachtangowa.

Wreszcie — zamilowanie do różnorodności gatunków. „Wachtangowcy” z drwiną mówią o tych, którzy dzielą próbując dramatyzację na „poważną” i „mniej poważną” na rodzaje ważniejsze i mniej ważne, zaliczając do tych pierwszych dramat obyczajowy, tragedię itp., do drugich zaś gatunki takie, jak sa-

tyra i komedia, nawet farsa. W repertuarze teatru na przestrzeni jego drogi twórczej widać niemało przykładów zaczerpania tego nielusznego podziału; ostatnim przedstawieniem jakie reżyserował w r. 1922 twórca teatru Eugeniusz Wachtangow była „Księżniczka Turandot” Gozziego, której „tragiczną” treść zalecił Wachtangow potraktować aktorom z dużą dozą ironii. Obecnie, obok klasycznego repertuaru złożonego z „poważnych” dramatów teatr nosi się z myślą inscenizacji znakomitej sztuki satyrycznej Majakowskiego „Luznia”, napisanej w czasie I pięciolatki. Dla nas zaś powinno być szczególnie interesujące, że bawiąc w Polsce artyści radzieccy zwrócili uwagę na „Zemstę” Fredry, zamierzając wystawić ją na scenie swego teatru.

Tyle spraw ogólnych. Nie wyczerpują one oczywiście nawet części rozległej problematyki zarówno historycznej jak i teoretycznej, związanej z teatrem im. Wachtangowa. Sprawy te niewątpliwie będą powracać jeszcze przy wielu okazjach. Warto by teraz skonfrontować przynajmniej część tych uwag ogólnych z konkretną realizacją sceniczną sztuki J. Gow i A. d'Usseau „Głęboko sięgają korzenie”.

Na początek zastrzeżenie — sztuka ta nie jest bynajmniej najbardziej reprezentatywnym przedstawieniem teatru. Nie należy ona do tych sztuk, które weszły do repertuaru teatru głównie dzięki temu przedstawieniu, tak, jak np. dramaturgia Gorkiego otrzymała swą najpełniejszą realizację na deskach MChAT-u, jak „Człowiek z karabinem” Pogodina znalazł swoje właściwe życie sceniczne na scenie teatru im. Wachtangowa. Zresztą i sam materiał literacki pomimo niewątpliwych zalet i walorów nie wolny jest od błędów i spłyczeń. Tym więc ciekawszym staje się sposób potraktowania tej sztuki przez inscenizatorów — R. Simonowa i A. Gabowicz. Twórcy z teatru Wachtangowa, podobnie jak i sam Wachtangow są zdecydowanie przeciwnikami stosowania tej samej lub podobnej metody inscenizacyjnej do różnych sztuk, uważają, że każda sztuka wymaga innego traktowania, dlatego aby to traktowanie mogło być nazwane realistycznym.

Jak postąpili oni z rozgrywką się na obcym terenie, w obcym



„Wiele hałasu o nic” — Szekspira w teatrze im. Wachtangowa.

kraju — południowych stanach USA — sztuką amerykańskich pisarzy?

Każdy, kto widział to przedstawienie zauważy bez trudu, że to, co pokazano na scenie nie jest Ameryką w dosłownym rozumieniu tego wyrazu. Ludzie w Ameryce tak nie poruszają się, tak nie mówią, tak się nie ubierają, tak nie mieszkają. Rzeczywistość istniejąca na scenie niewieloma tylko realiami związaną jest z prawdziwą Ameryką, i odnosi się wrażenie, że teatr z rozmysłem nie poświęcił wiele uwagi dobieganiu drobnych realiów. Bo przecież, patrząc na sprawę z innej strony — od strony rozgrywających się na scenie konfliktów społecznych i moralnych, od strony wewnętrznej charakterystyki postaci, od strony sensu tego, co się na scenie odbywa — jest to Ameryka najprawdziwsza. Nie chce, aby odnieść to stwierdzenie tylko do wierzchniej, fabularnej warstwy przedstawienia — że sprawa murzyńska, że dyskryminacja, że środowisko konserwatywnych wielmożów południowych. Sprawa sięga głębiej — wartościowanie postaw moralnych ludzi, wartościowanie spraw, już nie tylko to, którego dokonali autorzy sztuki, ale to, które odbywa się w toku samej inscenizacji poprzez grę aktorów i reżyserię, kierowane jest kryteriami jak najbardziej odpowiadającymi przedstawianemu środowisku. „Tak należy widzieć ludzi w Ameryce” — oto jak w wykonaniu teatru brzmi teza sztuki. Cechy ich są przerysowane niejednokrotnie, ale przerysowane w sposób typowy, są niekiedy umowne, ale ta umowność ma swoją prawną wymowę. Najlepszym przykładem tego jest postać Alice, grana przez Mansurów czy, może już nieco zbyt skrótkowo potraktowana postać Brett w wykonaniu Abrikosowa. Przez postacie te, przy całej konwencji w ich zarysowaniu przemawiają wyraźne typy — postępowej z formy a reakcyjnej z ducha emancypantki i murzyńskiego postępowca.

Prowadząc tę surową charakterystykę postaci teatr nie zapomina o konieczności ciepła, zbliżenia postaci, angażowania nie tylko władz intelektualnych, ale i emocjonalnych widza. I tu, pojawia się ow romantyczny pierwiastek, o którym pisałem wyżej. W „Głęboko sięgają korzenie” rola jego jest dość ciekawa. Sztuka w rozwiązaniu jednego z ważniejszych wątków — wątku miłości Brett i córki senatora Longdona — Genewy ciąży wyraźnie w kierunku dość banalnego happy endu. Teatr jednak przez potraktowanie aktorskie tego wątku stara się zatrząść taką wymowę zakończenia. Głównie dzięki bardzo dyskretnej, subtelnej grze Celikowskiej przesuwa akcent z motywu happy-endu na szerszą, o głębszej wymowie humanistycznej perspektywę przyszłości, w której znikną nieludzkie przedziały rasowe. Jest to drobny jedynie przykład na stosowanie pierwiastka romantycznego i jego ożywczej rolę w tym teatrze. Dzięki niemu udało się jednak uniknąć oschłości mogącej płynąć z pryncypialnej charakterystyki postaci i nadać im nawet postaciom negatywnym, takim, jak senator Longdon, w interpretacji Tolczanowa, odcień swoistego ciepła.

I wreszcie ostatnia sprawa, jaką należy tu zasygnalizować — jedno-  
stylu wykonania aktorskiego. Znow na pozór sprawa wygląda zupełnie inaczej — zestawienie peł-



Rys. J. Zebrowski Celikowska

nej temperamentu, może nieco nawet ekstrawaganckiej (nie w negatywnym zresztą sensie tego słowa) gry Mansurów z niesłychanie powściągliwą, spokojną i miękką grą Szichmatowa w roli narzeczonego Alice, z prawie pomnikową postacią Brettą czy pełną wewnętrznego napięcia rolą matki Brett w wykonaniu Sinielnikowej daje wrażenie właśnie dużej różnorodności stylów aktorskich, a nie jego jednolitości. Jedność ta występuje jednak w skali przedstawienia jako całości, odrębność poszczególnych interpretacji nadaje całości przedstawieniu ogólny charakter barwności, bujności pokazyjących charakterów, bogactwa ludzkich postaw.

Krzysztof Teodor Toeplitz

**W 36 ROCZNICZNY WIELKIEJ REWOLUCJI SOCJALISTYCZNEJ**

Ukazały się dzieła:

**ARMIA RADZIECKA I SOJUSZNIK NASZ PRZYJACIEL I SOJUSZNIK**

„...W sercu każdego Polaka słowa „Armia Radziecka” budzą jakieś bardzo osobiste, najsilniejsze wspomnienia... Armia Radziecka była i jest ze swej istoty sojuszniką klasową polskich robotników i chłopów — bo była i jest armią robotników i chłopów radzieckich...”

(Z przedmowy) Cena zł 25,50

Stron 328

**DOPÓKI BIEŻĄ SERCA...**

Zbiór opowiadań, szkiców i dokumentów poświęconych czynom wojennym komunistów — młodych żołnierzy Armii Radzieckiej i Radzieckiej Marynarki Wojennej w Wielkiej Wojnie Narodowej.

Cena zł 29,—

Stron 616

**MICHAŁ FRUNZE — DZIEŁA WYBRANE**

Dzieła wybrane Frunze, wiersze, mowa syna partii bolszewickiej, wybitnego dowódcy i działacza stanowią bogaty materiał dla pogłębienia i rozszerzenia wiedzy politycznej i wojskowej.

Cena zł 35,—

Stron 610

**WYDAWNICTWO MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ**

K 15362-1

**Nowość Nowość**

**JANUSZ PRZYMANOWSKI**

**Żołnierze czterech rzek**

„...A ty się nie śmiej, Wołodia. Będą o żołnierskim płaszczu poematy, powieści pisać, będą... Może i o tobie napiszą...”

Barwna, interesująca powieść o żołnierzach I Armii Ludowego Wojska Polskiego.

Stron 440 Cena zł 21,80

**WYDAWNICTWO MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ**

K 15377-1

IJA ERENBURG

## O pracy pisarza

Dostałem niedawno list od jednego z moich czytelników, młodego inżyniera z Leningradu, który zadał mi takie pytanie: „Jak pan to wytłumaczy, że nasza literatura piękna jest wcale jaśniejsza od naszego życia? Zgadza się u nas niedawno na ten temat i nikt nie mógł znaleźć odpowiedzi. Bo czy można porównać nasze społeczeństwo radzieckie z Rosją carską? A jednak klasycy pisali lepiej. Rzecz jasna, że niektóre utwory czyta człowiek z zainteresowaniem, ale wiele jest takich, że powstaje pytanie: po co to napisać? Niby wszystko jest jak trzeba, a jednak czegoś brak i ludzie pokazani są nie tak, jak wyglądają w rzeczywistości...”

Nieraz słyszałem podobne sady, chcę więc podzielić się z czytelnikami moimi myślami o pracy pisarza. Rozumie się, że to co chcę powiedzieć, jest subiektywne i oparte na doświadczeniu jedynie osobistym. Pisarzy radzieckich jednomyślnie umiłowano naszego społeczeństwa socjalistycznego, wiara w jego przyszłość, ale piszę o rzeczach rozmaitych i to zupełnie odmiennie. Każdy z nas ma własną sumę doświadczeń. Z niektórymi moimi myślami zgadzają się zapewne wszyscy pisarze, z wieloma zaś nie zgodzi się wielu. Majakowski powiedział kiedyś: „Nie daję żadnych przepisów na to, by ktoś mógł zostać poetą. Takich przepisów w ogóle nie ma.” Nie ma też przepisów na to, by zostać powieściopisarzem. Nie zamierzam bynajmniej budować teorii, ani udzielać rad — byłoby to nie tylko rzeczą nieskromną, ale wręcz głupią; rozmaici pisarze rozmaitymi drogami wchodzi do literatury, w różny sposób piszą i w różny sposób odbywa się w nich proces twórczy. Chcę po prostu opowiedzieć o tym jak rozumiem swoją pracę.

Autor listu ma oczywiście rację, gdy mówi, że nasza rzeczywistość jest barwniejsza i silniejsza od naszej literatury. Nie ma u nas teraz ani Lwa Tołstoja, ani Saltykova-Szczedrina, ani Czechowa, ani Gorkiego. (To nie znaczy, że nie mamy wybitnych pisarzy i udanych powieści). Nie o to chodzi, że natura czy „los” zapoatrjuje jedną epokę w tyłu a tyłu geniuszy, o innej zaś zapomina. Po to, by odpowiedzieć na pytanie leningradzkiego inżyniera, trzeba ci powiedzieć o samym charakterze pracy pisarza.

Fotograf — amator stryka miżawką: wystarczy setna część sekundy, aby na emulsji światłoczułej utrwa-

lił się kształt zewnętrzny człowieka idącego, albo nawet biegającego. Artysta malarz ustawia swój model, przypatruje się długo twarzy człowieka, starając się znaleźć w jego rysach odbicie charakteru i życia wewnętrznego. Pisarz podobny jest w swej pracy do malarza: bada uważnie swoich bohaterów.

Wielkim naszym poprzecznikiem znacznie łatwiej było pracować niż nam: opisywali oni społeczeństwo, które zmieniło się nadzwyczaj powoli. Owszem, Saltykow-Szczedrin przeżył epokę reform i dał w swoich książkach odzwierciedlenie przemian socjalnych. Ale głębokich przemian duchowych w królestwie pompadurów i wśród państwa Golowiewów — nie było. Bohaterowie i bohaterki wczesnych powieści Czechowa pojawiają się również w jego ostatnich utworach; styl autora się zmieniał, modele zaś zmianie nie ulegały.

Nasze społeczeństwo tworzy się w naszych oczach. Liczne książki cieszących się dobrym zdrowiem (i nawet nie starych) autorów były książkami aktualnymi i stały się historycznymi — nie tracąc artystycznych zalet, np. „Kłeska”, albo „Zorany ugró”. Zmieniają się ludzie, ich stosunki wzajemne, ich psychika. Bohaterowie wojny narodowej nie przypominają bohaterów „Czapajewa”, ani „Żelaznego potoku”. Współcześni nasi studenci nie są podobni do rabfakowców 1925 roku. Te nawet uczucia, o których się dawniej myślało, że są niezmiennie, zmieniają się z zadziwiającą szybkością i przeżyłszy zakochanych naszego czasu różnią się od tego, co przeżywali młodzieńcy i dziewczęta czasu pierwszej pięciolatki.

Tołstoj, Turgieniew, Gonczarow, Czechow doskonale wiedzieli, co poczuja ich bohaterowie w każdych okolicznościach i jak w nich będą postępować. Literatowi radzieckiemu trudniej jest zdać sobie sprawę z myśli i uczuć swoich współczesnych przechodzących szybkie przemiany. Nie można oceniać na jednej płaszczyźnie odzwierciedlenia społeczeństwa już ustalonego, które pisarz oskarża, albo tylko opisuje — i budującego się, nieznanego dotąd w historii społeczeństwa, w tworzeniu którego on sam bierze udział.

Mimo woli powstaje pytanie: jak też piszą teraz literaci społeczeństwa burżuazyjnego? Zdawałoby się, że ich zadanie jest łatwe: pokazać świat zgrzybiały, choć jeszcze trzymający się przy życiu. A tymczasem współczesna literatura zachodnia zadziwia swoim ubóstwem; mówią o tym nawet prawomysłni krytycy we Francji, w Anglii, w Stanach Zjednoczonych.

W epoce między pierwszą a drugą wojną światową wielu pisarzy zeszłego stulecia tworzyli jeszcze wspaniałe książki: Romain Rolland, Dieiser, Bernard Shaw, Hamsun (haniebny koniec jego życia nie każe nam zapominać o zaletach jego wczesnych powieści), Wells, Roger Martin du Gard, Galsworthy, Hauptmann, Henryk Mann, Pirandello. W tym samym

okresie Ameryka dała szereg znakomych powieści, okrutnych i ludzkich zarazem. Pierwsze książki Hemingwaya, Caldwell, Steinbecka, Faulknera, uderzały czytelników swoją szczerą i głęboką rozpaczą. Niektórzy krytycy oskarżali tych autorów o pesymizm. Owszem, w Stanach Zjednoczonych byli i wówczas pisarze pokazujący walkę postępowych kół społeczeństwa z rasizmem, duchem zysku, zdziżeniem i depniam ludzkiej godności. Ale koła postępowe w Ameryce są jeszcze słabe. Oskarżani o pesymizm pisarze opisywali to, co widzieli, przeciwstawiając swoją rozpacz patentowanemu uśmiechowi milionów misterów Babbittów.

I wreszcie między wojnami pisarze świata burżuazyjnego — Mauriac, Deoblin, Jules Romains, Moravia, Joyce, Roth i inni — w nacechowanych talentem książkach odzwierciedlili wyczerpanie, upadek społeczeństwa kapitalistycznego. Takich książek nikt już więcej na Zachodzie nie pisze: jedni z wymienionych przeze mnie autorów umarli, inni zamilkli, a trzeci skarli duchowo.

Między dwiema wojnami pisarze świata burżuazyjnego rozumieli, że ich społeczeństwo jest skazane na zagładę, ale cechowali ich jeszcze spokój, niezbędną nawet dla lamentacji. Rozpacz ich pełna jeszcze była umiaru i mogła wlać się w formy artystyczne. Obecnie pisarze Zachodu burżuazyjnego nie wiedzą, co zdążyć się jutro z ich bohaterami, a nawet z nimi samymi. Trudno medytować nad planem powieści, kiedy kolega ci mówi, że za rok spadnie bomba atomowa, kiedy jedną ulicą maszerują żołnierze amerykańscy, a drugą idą strajkujący. Część pisarzy historycznie zawodzi w gazetach, inna — bez zapalu opisuje rzadkie przypadki, zdolne zainteresować jedynie psychiatrę, albo kryminalistę.

Taki jest los pisarzy rozkładającego się społeczeństwa; ale w krajach burżuazyjnych są znakomici pisarze, książki których docierają do serc ludzkich i dają im to, czego nie ma ani w biednych, ani w bogatych krajach Zachodu: nadzieję. Nowe książki znalazły nowych czytelników. Czy to nie uderzające, że w Ameryce Łacińskiej prosić ludzi o raz pierwszy wzięli się do czytania powieści i poematów, oraz że pierwszy to raz książki pisarzy Ameryki Łacińskiej obeszły świat? Mało kto zna w Europie utwory poety Rubena Darío, ale nie ma już teraz europejczyka, miłośnika literatury, który nie czytałby z zapalem książek Neruda, Amado, Guillena. Czy był kiedy w Turcji chorąży jeden pisarz, znany chłopcom, górnikom, marynarzom i czy znał kto zagranicą choćby jednego tureckiego pisarza? A poezja Nazima Hikmeta znalazła drogę do serc milionów ludzi. Czy robotnicy fabryki „Renault” czytali wiersze Pawła Valery’ego? A teraz czytają oni (wcale niełatwe) wiersze Eluarda i Aragona. Kiedy przedstawiciele Francji oficjalnej chcą podnieść prestige swojego kraju za jego granicami,

mi, to są zmuszeni wymienić nazwiska tych właśnie wybitnych pisarzy. Po wojnie straciła jakąś blask twórczość tych autorów, których nazywano w Stanach Zjednoczonych „pisarzami skazanego pokolenia”, ale rozwinął się i dojrzały talent Howarda Fasta. Pisarze przeze mnie wymienieni zerwali ze społeczeństwem burżuazyjnym. Być może dlatego właśnie zdaje mi się, że są lepsi? Nie, wymieniałem imiona naprawdę najlepszych: obrócili się oni twarzą ku przyszłości właśnie dlatego, że wyżyli byli duchem niż inni.

Są na Zachodzie czytelnicy, którym wystarczą powieści detektywistyczne, albo te na polu sentymentalne — na polu srońsze bzdurki, jakimi ich częstują rozmaite „Readers digests”. W pewnych krajach jest takich czytelników wielu, ale nikt ich nie nazwie ani sercem, ani sumieniem, ani przyszłością ich narodów. Ci czytelnicy, którzy pracują, tworzą i myślą wolą prawdziwe książki.

Tłumaczenia naszych powieści cieszą się powodzeniem i we Francji, i w krajach Skandynawii i w Ameryce Łacińskiej: to się tłumaczy nie tyle tym, jak są one napisane, ile raczej tym, co w tych powieściach jest opisane.

Czytałem niedawno powieść młodego, ale znanego już pisarza francuskiego. Młody bohater tej powieści bawi się w pederastę, następnie żeni się ze zgrzybiałą staruchą, aby zaważnąć jej mieniem, i po nocy posłubnej, która opisana jest ze wszystkimi szczegółami, udaje się do swojej młodej siostry, by zakosztować kazirodtwa. Łatwo zrozumieć, że po przeczytaniu takiej książki czytelnik francuski znajduje w „Młodej gwardii”, albo w „Żniwach” lyk czystego powietrza.

Zmierzach Zachodu mamy już za sobą. Był on pełen niejasnych cieniów, budzących ekki lek i smutek. Teraz zapadł nam głęboki wieczór. Każde społeczeństwo przechodziło epokę swego artystycznego rozkwitu, triumfu harmonii, obfitości doskonałych dzieł. Okresy takie nazywa się godziną południa. Społeczeństwo radzieckie przeżywa teraz chwilę wczesnego poranku: dla historii kilkadziesiąt lat — to krótka godzina. Pisarze nasi przypominają zwiadowców. Oto dlaczego nie ma u nas jeszcze Puszkina, czy Tołstoja. Ale będziemy ich mieli: południe jest przed nami.

We Francji nie ma obecnie ani Balzaka, ani Stendhala, ani Hugo, ani Flauberta, ani Zoli. Nie uświadczysz teraz w Anglii ani Dickensa, ani Byrona, ani Shelleya. Wiele musi się zmienić w tych krajach, aby zjawiła się tam nadzieja narodzin nowego Dickensa, albo nowego Stendhala. Na razie zaś mają one wszystko już poza sobą.

II

Otwierając książkę w pokoju z opuszczonymi stołami, czytelnik zaczyna jakby daleką podróż; to nic,



# Pierwszy wieczór u Wachtangowa

Już Molier celował w odtwarzaniu psychologii człowieka, cierpiącego na urojenia co prawda chorobie, lśben medycynę w literaturze doprowadził do perfekcji — krytycy „Upiorów” podnosili zgodnie dokładność, z jaką wielki dramatopisarz oddał klinicznie niemal przebieg paraliżu postępującego. „Historia choroby” to nie novum w literaturze światowej i nawet mistrzostwo, z jakim Gorki maluje kolejne fazy raka, nie tłumaczy tego wrażenia, jakie wywierają na nas „nietypowe” dzieje człowieka, który w przededniu Października chorował na raka wątroby. Cemu więc wychodzimy z teatru tak głęboko wstrząśnięci losem Jegora Bułyczowa, zamożnego kupca z Kosiromy?

Oto jego krótka biografia. Z pochodzenia ubogi chłop nadwołżański, Bułyczow, robi karierę — jak nasz Wokulski — ożeniwszy się z córką właściciela sklepu, w którym pracował jako subiekt, staje się z biegiem czasu panem interesu, pomnaża w ciągu lat majątek, zdobywa sobie pozycję ogólnie szanowanego obywatela gubernialnej miejsciny, skupuje lasy i urzędują w nich połowiana... Ale jeśli droga wżwyz jest podobna, to upadek Bułyczowa w niczym nie przypomina owianego romantyczną mgiełką upadku Wokulskiego. Na przeszkodzie dalszemu bogaceniu się kostromskiego kupca staje zwyczajne, ludzkie nieszczęście. Ale czy tylko ono?

Idą dni lutowej rewolucji burżuazyjnej. Jeszcze „rubie płodzą się jak wszy na żołnierkach”, ale prawdziwa rewolucja, rewolucja proletariacka wisi już w powietrzu. Śmiertelna choroba Bułyczowa otwiera mu oczy na śmiertelną chorobę przybranej klasy, stwarza ten dystans, z którego, skazany jako jednostka dostrzegająca w przeraźliwym świetle zagładę, nadszająca na całe stare społeczeństwo. Bułyczow, natura „na wskroś ziemska”, uosobienie energii życiowej, postać obujnym, nieposkromionym temperamentem, z piedestału własnej wyjątkowej tragedii zaczyna pojmować szerszą znacznie tragedię otaczających go „innych” — ślepych, głupich i okrutnych kreator. Jego rozpaczliwy indywidualny bunt przeciwko niesprawiedliwości losu urasta do rozmiarów wyzwania, rzucanego wszystkim wierzeniom, instytucjom i obyczajom tego świata. Tragedia Bułyczowa to nie tragedia niesprawiedliwej śmierci, ale tragedia zmarnowanego życia. Uświadamiając sobie w obliczu śmierci, że zabłądził „na cudzą ulicę, między obcych ludzi”, Bułyczow jak gdyby odnajduje gorzką satysfakcję w tym, że wyrok na niego jest podwójny, że zmiecie on z powierzchni

ziemi wszystkich innych Bułyczowów, cieszących się dobrym zdrowiem. Tak ten człowiek, nie umiający do końca przezwyciężyć swego egoizmu i na skutek tego do końca samoinny, wita nadchodzącą, nową erę ludzkości.

Czy dzieje Bułyczowa są więc dziejami typowego przedstawiciela umierającej klasy? W dosłownym sensie — oczywiście nie. Ale są nimi w tej dużej przenośni, która stanowi o odkrywczości dramatopisarstwa Gorkiego i dzięki której „Jegora Bułyczowa” zaliczyć można do arcydzieł realizmu socjalistycznego. Na tę oryginalność języka scenicznego sztuki składa się zarówno genialna przenikliwość w ukazywaniu psychologicznych i obyczajowych rysów środowiska jak i nieodwołalna trafność uogólnienia historycznego. Dzięki tej „dużej metaforze”, podnoszącej wydarzenia z życia jednostek na koturn wielkiej historii, malowidło obyczajowe z dzieł jednej rodziny i znanych staję się obrazem całej klasy; a komizm z rządu epizod z oszustem — trebaczem przekształca się w symboliczną wizję sądu ostatecznego.

„Jegora Bułyczowa” oglądaliśmy już w Warszawie w Teatrze Narodowym, w reżyserii Władysława Krasnowieckiego. Obecnie zobaczyliśmy „Bułyczowa” w wykonaniu teatru, w którym przed dwudziestu jeden laty odbyła się prapremiera tej sztuki. Nowa inscenizacja z 1952 roku jest dziełem tego samego Borisa Zachawa, który reżyserował pierwsze przedstawienie, wówczas jeszcze przy bezpośrednim udziale Gorkiego. Jegora grał wtedy Boris Szczukin, wielki aktor radziecki, pierwszy odtwórca roli Lenina w teatrze i filmie.

W nowej, odznaczonej Nagrodą Stalinowską, inscenizacji rolę Jegora Bułyczowa kreuje S. W. Lukjanow.

Rola ta, właśnie dlatego, że z tak mistrzowską plastyką narysowana, że tak śmiałymi, a przy tym niebawale oszczędzonymi pociągami pióra skreślona, kryje w sobie wiele łapek, zwłaszcza jeśli jak niefrasobliwie potraktować jako tak zwany „samograj” aktorski... Jakże tu łatwo wpaść w naturalistyczną manierę, zagrać na jednej niole zwierzęcego strachu przed śmiercią, jak łatwo, z drugiej strony, postać te przepsychologizować, rozmazać w zmienności nastrojów jej osty, wyrzasty rysunek...

Lukjanow ostrzegł się tych niebezpieczeństw. Nie wiadomo, co bardziej podziwiał w jego wspaniałym aktorstwie — czy zdumiewającą prostotę środków wyrazu, czy ich bogactwo. A zaznaczymy, że ta prostota i bogactwo środków aktorskich cechuje wszystkich artystów teatru im. Wachtangowa.

Lukjanow wygrał całą bez reszty partyturę duchową swego bohatera, wygrał ją soczyście, wyposażając swego Bułyczowa w cechy charakterystyczne, a przy tym w ów patetyczny gest wielkiej gorkowskiej metafory.

Uwydatnienie tej metafory to olbrzymia zasługa inscenizacji Borisa Zachawa. Prowadząc akcję na kilku — dostownie — planach, ukazując przekrój kupieckiego domu, wszytych jego kątów i zakamarków, Zachawa daje szerokie płótno obyczajowe, a równocześnie te piętra, galerijki i partery wyjawiają całą złożoność stosunków wz-

jennych, sprzecznych interesów, krańcowych nastrojów wewnątrz ginącego, starego społeczeństwa. Mammy tu więc i reprezentacyjny kupiecki hall, gdzie komentatorzy wydarzeń się pop prawosławny, uosabiający czarnosieczną ideologię, mamy pieterko rozpolitkowanych, eserowskich inteligentów, marzących o dorobieniu się na rewolucję, mamy kąt dekadentki zabłąkanej młodzieży. Są też tylnie drzwi, którymi do tego domu wchodzi rewolucjonista Jakub Laptiew i to symboliczne, wysokie okienko, z którego w finale sztuki Szura powita nadchodzącą burzę.

Wspaniały to spektakl. Ogromna prawda ludzkich przeżyć i zarazem siła i jasność, z jaką dźwięczy naczelną ideą sztuki, stanowią o głębokim, wstrząsającym realizmie tego widowiska. Dodajmy, że obok Lukjanowa przedstawienie przynosi szereg innych, wybitnych kreacji aktorskich, wymienimy chociażby G. Paszkową w roli Szury, czy J. Lubimowa jako Tiatina.

Pierwszy wieczór u Wachtangowa dał więc publiczności naszej niezapomniane przeżycia, a teatrowi naszemu bogaty materiał do przemyślenia.

G. D.

## Nowe książki

Kiedy Lucjan Szenwald opiewał jednego z pierwszych bohaterów-żołnierzy w październiku 1943 roku, pisał: „Elegię na śmierć Mieczysława Kalinowskiego”, przez kwadrans formował się obrazami Wojska Polskiego otwierał się dopiero szlak bojowy. Długa i trudna była droga do Berlina. I dlatego nie jest rzeczą łatwą uchwycenie tej atmosfery walki z faszystem w artystyczny, literacki kształt. Oczywiście istnieje sporo utwó-ów, obejmujących pewne fragmenty, wyemki z dziejów Wojska Polskiego. Wciąż jednak czekamy na utwór odpowiadający randze wielkiego tematu, na frontową „Pamiętkę”.

Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej w związku z dziesięcioleciem Ludowego Wojska Polskiego uczciło te rocznice spora ilością ciekawych, choć nie zawsze estetycznie wydanych pozycji. Charakter monograficzny posiada zbiorowa praca pod redakcją generała St. Okęckiego „Szlak bojowy Ludowego Wojska Polskiego”. Przeznaczona w zasadzie dla specjalistów, w tym dla historyków, może też przynieść czytelnikowi, nieprzygotowanemu zawodowo do jej lektury. Podobnie rzecz się ma z tomem „Dzieł wybranych” Michała Frunzego, jednego z organizatorów Armii Czerwonej.

O walce młodzieży radzieckiej z faszystami mówił zbiór opowiadań, wierszy i dokumentów z lat 1941—42 „Dopóki nie będzie serce”.

Jedną z najcenniejszych pozycji MON-u stanowią „Wiersze żołnierskie” Lucjana Szenwald, poet-żołnierza. Wstęp Stanisława R. Dobrowolskiego wyjaśnia rolę, jaką pełniły frontowe utwory poety, zbliża sylwetkę samego autora do czytelnika.

Ukazały się też dwa poematy konkursowe: „Żołnierska droga” Leopolda Lewina i „Drogi” Henryka Huberta. Nie różni pod względem techniki wersyfikacyjnej (z wyjątkiem przewag na krzyżach Lewina) oba te utwory nie poddały obrzygnięciu zadani, nie udało im się dostatecznie wyrazić w poetyckich obrazach żołnierskiej epopei od Oku do Berlina. Wydaje się, że oczekiwania nasze — jeśli można sądzić po ogłoszonych w prasie fragmentach — zaspokaja częściowo poemat Tadeusza Kubiaka pt. „Żołnierze”.

Tematykę bliską historii Wojska Polskiego jest poemat Aleksandra Twardowskiego „Wasyli Tiorkin”. Można powiedzieć bez przesady, że ten radziecki żołnierz — odważny i pełen humoru, zaciągający swą fikcyjność z miazmatami żywymi postaciami, hawie i krzepiąc swych realnych towarzyszy. Prawdziwe urody dodają książce ilustracje Ignace-

nowa i nie będzie opisywał Iwanowa tylko po to, żeby zapoznać nas z tokarnią.

Czytelnik liczy na to, że pisarz głębiej od niego zbadał świat ludzkich uczuć, że pisarz ma oczy, które można porównać do rentgenowskich promieni. Otwierając książkę czytelnik spodziewa się lepiej poznać swoich towarzyszy, współzłudzi, przyjaciół, wrogów. Ma nadzieję, że pełniej i lepiej pozna samego siebie, że lepiej pojmie własne życie.

Nie ma już więcej przesądów i konwencji społecznych, które pokazał Lew Tolstoj. Ale robotnica Triochgornej Manufaktury placze nad cierpieniami Anny Kareniny. Zrozumiała jest dla niej i bezbronność kochającego serca i siła macierzyństwa. Stara historia pomaga młodej kobiecie zajrzeć w głąb własnego serca. Czytelniczka współczesna bierze powieść Tolstoja nie tylko po to, żeby poznać obyczaj martwego społeczeństwa, ale i po to, żeby zrozumieć zawilgość żywych ludzkich uczuć.

Lenin świetnie pokazał społeczne przeciwieństwa, których nie potrafił przezwyciężyć Tolstoj. Dla Lenina drogi Rosji były jasne, Tolstoj ich nie widział. Ale Lenin czytał Tolstoja nie tylko po to, aby zamaskować bieżące tolstojowskie filozofie: wielki pisarz pomógł mu pełniej poznać życie wewnętrzne człowieka.

Pamiętam, jak na zjeździe pisarzy radzieckich przemawiała młoda kobieta, robotnica Triochgornej Manufaktury; mówczyń „wystawiła rachunek” pisarzom: dlaczego nie ma powieści i opowiadań odzwierciedlających życie włókienników? Od tego czasu minęło bez mała dwadzieścia lat. W tym okresie zdażyły zjawiać się utwory, bohaterami których są pracownicy przemysłu włókienniczego. Jednakże nie te książki cieszą się największym popytem w bibliotekach fabrycznych. Czyżby Lewin, albo Wronski byli bardziej interesujący dla robotnic, niż nasi współcześni? Nie. Zapewne w książkach, w których występują włókienniki pokazano nam nie ludzi, ale warsztaty, nie ludzkie uczucia, lecz tylko procesy produkcyjne.

### III

Dziesiątki milionów ludzi radzieckich wie, jak odbywa się wytipanie stali, jak selekcyonerzy tworzą nowe gatunki jabłek, jak pracują budowniczości górników, wysokośćowych, ale wcale nie wszyscy czytelnicy mają pojęcie o tym, jak powstają powieści. Psychologia twórczości artystycznej zbadana jest powierzchownie.

Być może nasi krytycy analizują sukces lub niepowodzenie pisarza, poruszają kwestie związane z powstawaniem dzieła sztuki? Nie. Mało jeszcze mamy, niestety, poważnych krytyków i badaczy literatury. W pojęciu niektórych recenzentów, książką dzieła się na dwie kategorie: zaszczytne nagrody, albo po-

## KORESPONDENCJA • KORESPONDENCJA • KORESPONDENCJA

### Chronologia, a nie ideologia

W związku z artykułem Aleksandra Wojciechowskiego „O rodowodzie Jana Majejki” („Nowa Kultura” nr 43) przeze o umieszczenie w tym piśmie wyjątków z książki, dotyczącej genezy „Sobieskiego pod Wiedniem” jako przykładowego, zdaniem recenzenta, przebiegnięcia w książce podpisanego „Majejki i Słowacki” struny na rzecz interpretacji czysto politycznej i „sociologicznej”. Chodzi mi o posługiwanie się przez A. Wojciechowskiego tekstem wymienionej książki, prowadzące — w tym szczególnym wypadku — do daleko idących przesłanek sądów w tej książce wygłoszonych.

Przykład. Recenzent zacytował z przerywnymi — ustep ze str. 13 („Pan Majejka z orlem... konserwatywny galicyjskich”) i całe, w tak brzmianym cytacie naprawdę pozbawione sensu sformułowanie, przerzucił na barid autoru, zwawo i celno za to go atakując. Niestety, nie mogę stwierdzić, że atakując słusznie, a to z następujących przyczyn: pierwsze zdanie cytowanego ustępu jest przecież ironicznym komentarzem do długiego przytoczenia tekstu z „Czasiu” i „lektury”, jakim „podkiesialem” chronologię, nie ideologię! dzieł Majejki. W jego ramach Batory, Grunwald czy Sobieski pod Wiedniem odpowiadają w pewnej mierze potrzebom bieżącej polityki konserwatywów galicyjskich. Ludzie tego obozu z całą gotowością kładą się za owe pldnia i przywiązują sobie ich ogólnonaro-

### dowe walory, żeby przemycić pomiędzy nimi swoje wsteczne i doraźne cele”.

Podkreśliłem zdanie opuszczone, chyba dostatecznie wyraźnie w swojej wypowiedzi, a posiadające w tekście mojej książki dziesiątki analogii nie czysto zdaniowych, lecz — interpretacyjnych. Upominam się o to przebiegnięcia, abo wiem tylko na jego podstawie mógł A. Wojciechowski postawić w stosunku do omawianej książki dyalemat, w głębokim przeświadczeniu jej autora zupełnie fikcyjny. Recenzent zgadzając się z tym, że Majejka w pewnej mierze ugiął się przed ideologią klasy rządzącej Gali- cją, stawia duże możliwości na temat owej Canossy.

Jeżeli Canossę brać będziemy przysłówowo jako akt uległości i skrucy, to trudno tu przyznać całkowitą rację autorowi. Jeśli historycznie jako chwilowa uległość wobec silniejszego, z zachowaniem w sercu wszystkich niechęci i załowa... — to wtedy całkowicie zgodzić się należy z taką koncepcją”.

Czy naprawdę w tym — bardzo podstawowym — względzie — książka moja może pozostawiać jakikolwiek wątpliwość? I czy dzieło dowodzące pełnej uległości Majejki wobec Stańczyków nie zostało już dawno napisane? Imię autora: Stanisław Tarnowski. Nie czuję się godnym tego imienia ani laurów interpretacyjnych, jakie czaszka mogłaby spaść na mnie, gdybym uwierzył w tę część wywodów — bardzo poza tym instryktywnie, bardzo istotnie w wielu innych zarzutach i dezzyderatach recenzji.

Kazimierz Wyka

### O mojej pracy

Słysząc publicznie i czytając w prasie o „marazmie” i że poznający pisarza „figurują”, przesyłam w imię rzetelności — spis moich prac od roku 1948 do chwili obecnej, tj. do października 1953 r. Przypominam, że mieszkam w Poznaniu od lipca 1948 i że jestem członkiem tutejszego Związku Literatów.

#### Ukazały się:

1. „Abel w puszczy” powieść z węgierskiego Arona Tomasiego. Wyd. „Wiedza” r. 1948.
2. „Jak uszczęśliwić...” dziełko filozof-moral. z angielskiego Dale’a Carnegiego. Albertinum r. 1948.
3. „Wiersze Wybrane” od r. 1912 — 1948. Zbiór poezji. Wyd. Wł. Bąk, Łódź, r. 1948.
4. Tomy I i II „Anny Kareniny” Tolstoja. Państw. Inst. Wyd., r. 1951.
5. 6. Trzeci tom „Anny Kareniny” Tolstoja. Państw. Inst. Wyd., r. 1952.
7. Czwarty tom „Anny Kareniny” Tolstoja. Państw. Inst. Wyd., r. 1953.
8. W. Dobrowolskiego „Szlak bojowy” — powieść popularna z węgierskiego Aleksandra Lestiana, „Nasza Księgarnia”, r. 1953.

Razem 8 pozycji.

#### Pozostają niewydane:

1. Tom wierszy od 1938 — 1953.
2. Tom przekładów z węgierskiego

### X-lecie Ludowego Wojska Polskiego

Ukazała się już obszerna praca zbiorowa pt.:

## „Szlak bojowy Ludowego Wojska Polskiego”

Książka zawiera 8 rozdziałów:

- |               |                                                                                                                             |
|---------------|-----------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|
| Rozdział I    | Katastrofa wrześniowa. Początki walki narodu polskiego przeciwko okupantowi hitlerowskiemu.                                 |
| Rozdział II   | Rozwój walki narodowo-wyzwoleńczej w Polsce.                                                                                |
| Rozdział III  | Walka narodu polskiego o narodowe i społeczne wyzwolenie kraju w pierwszej połowie 1944 roku.                               |
| Rozdział IV   | Organizowanie ludowego Wojska Polskiego i jego walki w drugiej połowie 1944 roku.                                           |
| Rozdział V    | Wielka ofensywa zimowa Armii Radzieckiej. Udział ludowego Wojska Polskiego w wielkiej ofensywie zimowej.                    |
| Rozdział VI   | Udział ludowego Wojska Polskiego w wyzwoleniu Pomorza.                                                                      |
| Rozdział VII  | Zakończenie wojny z najeźdźcą hitlerowskim. Operacja herlińska Armii Radzieckiej i udział w niej ludowego Wojska Polskiego. |
| Rozdział VIII | Zróżdła sily ludowego Wojska Polskiego.                                                                                     |

Książkę opracowała Komisja Wojskowo-Historyczna MON pod redakcją gen. brg. Stanisława Okęckiego. Książka wydana jest w pięknej płócienniej oprawie, zawiera liczne zdjęcia dokumentalne oraz szkice z walk. Stron 460. Cena zł 25.—

WYDAWNICTWO MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ

K 15372-1

że bohaterowie opowieści mieszkają w tym samym mieście, być może na tej samej ulicy. Dokąd więc dąży czytelnik? Co spodziewa się znaleźć w książce?

Ani słowa, powieść historyczna może poszerzyć zapas wiadomości czytelnika, uzupełnić stronicę historii, ożywić je. Nie można studiować epoki Piotra tylko z pomocą powieści A. N. Tolstoja, ale ta książka daje namacalne pojęcie o piotrowskich czasach. Powieść, akcja której rozwija się w krajach nieznanych czytelnikowi, albo w nieznanym dla niego środowisku, ma znaczenie poznawcze: ożywia ona stronicę geografii, informuje o szczegółach nieznanego życia. Jednakże — przy całej swojej barwności — opisy życia kozaków w „Cichym Donie” i — przy całym swoim uroku — opisy pejzaży w tejże książce pomagają tylko Szolochowowi pokazać świat psychiczny bohaterów i czytelnik idzie trop w trop za Grzegorzem.

Po to, by zrozumieć kolejne operacje metalurgiczne albo metody współczesnego budownictwa — czytelnik zwróci się prędzej do specjalisty niż do pisarza, który „zebrał materiał”, czyli mówiąc po prostu, więcej albo mniej sumiennie starał się wykuć to, co mu mówili specjaliści. Doświadczony agronom lepiej opowie o zdobywczach rolnictwa, niż powieściopisarz, zaś teoretyk wojskowości lepiej przeanalizuje bitwę pod Stalingradem, albo pod Kurskiem, niż najstaranniejszy beletrysta.

Jest wszelako dziedziina, w której pisarz ma obowiązki orientować się lepiej od swoich współczesnych współobywateli: mowa o świecie wewnętrznym człowieka. Opisać wygląd bohatera, okoliczności, w których on działa, mieszkankę, hałę fabryczną — to rzec z niezbędną, ale nie tak znowu trudną; takie opisy — to śródek, a nie cel.

Przypuśćmy, że w powieści mowa jest o Iwanowie, który jest sąsiadem czytelnika. Dla tego ostatniego ani wygląd Iwanowa, ani warunki w jakich ten żyje nie są tajemnicą. Czytelnik nieraz widział Iwanowa, słyszał jego przemówienia na zebraniach aktywu, być może — nawet był u niego. Iwanow pozostawał jednak dla niego ziemią znajomą, ale nie odkrytą. Jeżeli pisarz potrafi pokazać, o czym myśli ten daleki sąsiad, jak znośi nieszczęście, jak pracuje, jak kocha, jak popelnia omyłki — to czytelnik po przeczytaniu powieści poczuje, że stał się bogatszy, poznał Iwanowa — i tym samym lepiej poznał siebie.

Oczywiście, jeśli dany Iwanow jest metalowcem, to pisarz pokaże go także w fabryce: praca — to część życia człowieka i to część — w naszym społeczeństwie istotna. Pisarz w takim wypadku powinien znać się na procesach metalurgicznych, ale oddział fabryczny opisać on po to, aby lepiej uwypuklić postać Iwa-

swoim notesie „zgrupować materiał” dla powieści. Czechow odbył podróż na Sachalin i napisał ten reportaż, to co zobaczył w tej podróży wzbogaciło go wewnętrznym, pomogło mu lepiej poznać ludzi. W opowiadaniach swoich Czechow jednak nie wracał do tematów sachalińskich. Można pisarza posłać do Mol-dawii, do Jakutii, za granicę. Pisarz może znakomicie wykonywać czynności dziennikarskie. Reportaż — to trudny i ważny gatunek literacki. Nie można jednak, posyłając pisarza w teren, liczyć na to, że przywiezie on w walizce duszę powieści. Czasami pisarz pracujący nad powieścią musi obejrzeć takie czy inne miasto bądź fabrykę, ale jest to tylko dodatek do tego, co zmusiło go istotnie do rozpoczęcia pracy nad książką.

Tak więc, tworzenie dzieł sztuki może się komuś wydawać podobne do produkcji przemysłowej; i jeżeli konsument słusznie się obraża widząc sprzęt nieprzystający mu do gustu, albo nie znajdujący tkaniny o pożądanym kolorze, to ten czy ów czytelnik gotów jest mieć pretensję do pisarza, że nie opisał takiej a takiej budowy, nie pokazał ludzi takiego a takiego zawodu i — dobrze opisując uczucia pewnego typu — w ogóle nie zajął się innymi.

Zjemy w epoce, w której społeczeństwo przekształca się w oczach, ludzie zaś bardzo szybko się rozwijają; rozwijają się jednak z szybkością niedękanową i przy tym nie równomiernie; właśnie dlatego ten czy ów pisarz, zagubiwszy się wśród własnych sprzeczności duchowych, niesłusznie interpretuje postępowanie swoich bohaterów. Omyłki takich autorów powinny być wydobyte na jaw. Klasyki marksizmu wykazały, że można to zrobić nie nadsłuchając artykułom krytycznym posmaku procesu sądowego. Krytyka powinna wydobyć na jaw omyłki także takiego autora, który całkiem prawidłowo interpretuje postępek swoich bohaterów, ale który samych owych bohaterów nie pokazuje. Zazwyczaj chwilejność artystyczna cechuje utwory napisane w najlepszych zamiarach, ale nie organiczne dla autora i nie przeżyte przez niego głęboko. Taki autor nie zna i nie rozumie swoich bohaterów. Niepowodzenie jego może wyjaśnić tylko taki krytyk, który zechce zastanowić się nieco nad psychologią twórczości.

Pisarz nie może pisać o czymkolwiek, bądź o kimkolwiek. Ograniczony jest zarówno w wyborze tematu, jak w wyborze bohaterów. Każdy pisarz, nawet największy, napotyka w swojej twórczości na bariery własnego talentu. Twórczość powieściopisarza jest określona przez warunki społeczne, w których on żyje, teraz o tym wiedzą już wszyscy. Ale twórczość pisarza określona jest także przez jego biografie, jego doświadczenie życiowe, jego charakter.

(D. c. n.)

Tłumaczył Jerzy Pomianowski



Powiedzmy wprost, że sztuki dużej  
Trzeba, by życia tryb ułożyć,  
Gdyś trzecią dobę już w podróży,  
A to jej trzecia część, być może.  
Kiedy połowę świata prawie —  
Kraj, co ogromem swym zachwyca —  
Przemierza wagon — twe mieszkanie,  
Twój dom obecny i ulica,

Udana podróż — rzecz niemala:  
Trzeba, by wszystko w czasie drogi  
Dobrze do ciebie pasowało —  
Tak jak pasuje but do nogi.

Wszystko: pogoda, roku pora,  
Gwizd parowozu — znana nuta,  
Nawet samowar konduktora  
I radio, gdy go słuchasz tutaj...

I żyć się trzeba należycie  
Z ludźmi, by bliższe ci się stały  
Spotkane po raz pierwszy w życiu  
Twarze sąsiadów twych z przedziału.



Rys. Maja Berezowska

Jak major mój, o niezłej tuszy,  
Siwy, rumiany, wygolony,  
Albo uczony mój starszulek  
Jak grzybek — młody, choć zmarszczony.

I znajomość trzeba co dzień  
Zawierać w uświęcony sposób  
Na korytarzu — tam, gdzie w zgodzie  
Dzieli się oknem kilka osób.  
Gdzie marynarza czapka biała  
Przy miękkim kapeluszu świeci,  
Gdzie dziś prowincjonalny działacz  
Nie urzęduje w gabinecie.  
Gdzie, może, starzec kędzierzawy,  
Wypinający pierś w orderach,  
Taj w uśmiechu wielkość sławy  
Sąsiadom swym nieznanej teraz.  
Gdzie ruch tamuje dama z dąsem,  
Elegant zaś, co jej piżamę  
Musnąwszy — aż się zalał pasem,  
Zabiegów swym nie szczędzi wasom,  
Bo takie by nie rosły same.  
Gdzie wszyscy: górnik, leśnik, gisier,  
Lekarz, co ma już swoje lata,  
Pracownik twórczy, całkiem lisy,  
Co do bufetu ciągle lata,  
Wszyscy — związani drogi dają.  
Ten, tamta, wy, ja — i przypadkiem,  
Tak, dla kompletu, pop z medalem  
Osiemsetlecia Moskwy-matki...  
I tylko jedna młoda para  
Stoi na boku. To studenci —  
I nowożeńcy, poznać zaraz:  
Sobą wyłącznie są zajęci.  
Z jej dłonią — jego dłoń spleciona:  
Tak dzieci lubią ręce spletać.  
Stoją przy oknie: mąż i żona,  
Jakby pośrodku stali świata.  
Mówić bez słów to nowe stado  
Pofratu w sposób znakomity,  
A jechać może im wypadło  
Na kraniec ziemi — lub do Czyty.  
No, do Mogoczy jechać mogą,  
Co niedaleko leży za nią...  
Może ich droga — krótszą drogą.  
Bo co to znaczy: ziemi kraniec?  
Ten kraniec — to jest miejsce takie,  
Kraina taka jest wspaniała,  
Gdzie znanym wszystkim ludziom szlakiem  
Od wieków miłość podążała.  
To ona służy nam dowodem,  
Że każde miejsce, któreś znalazł —  
To kraniec, a zarazem środek,  
Każde bliskością jest i dala.  
Gdy ma przy sobie swe zasoby,  
Czym dla niej wszystkie troski świata?  
Co znaczy: szczęście w życiu zdobyć?  
Odpowiedz, proszę, masz tu na to:  
Szczęście — to właśnie tamtych dwoje,  
Co w tę czy inną poiać kraju  
Jasne i górne wiezie swoje  
Nadzieje — dłońią dłoń ściskając.

Nie, dobrze, gdy w podróży długiej  
Ktoś własny kącik zdobyć może:  
Jest okno, stolik — na usługi,  
W poprzek zaś drogi — miękkie łóżce.  
A jak się człowiek przy tym zmienia!  
Miałeś znajomych, dom, nazwisko —  
Teraz, pasażer bez imienia,  
Jedziesz daleko.  
I to wszystko.  
I piętna brak na twoim czole,  
Kopczysz jak każdy inny palacz.  
Istny błogostan,  
Lecz powoli:  
Za dużo sobie nie pozwalaj...  
Wprawdzie nie leży w twej naturze  
Przedział w trybunę zmieniać — ale  
Wypada ci literaturę  
Daninę złożyć i w przedziale.

ALEKSANDER TWARDOWSKI

## Z a d a l a - d a l

(NOTATKI Z PODRÓŻY)

## Rozdział piąty

Tak wszyscy nasi — ze stolicy  
Czy z dalekiego nawet kąta —  
Są wychowani czytelnicy,  
Że lubią osobisty kontakt  
Z autorem: kiedy bez trudności  
Ankietę przeprowadzić mogą,  
Ciebie do odpowiedzialności  
Pociągnąć — i pisarzy ogół.

Tęgoście nie odzwierciedlił,  
O tamto wciąż was trzeba prosić.  
A z pięć tysięcy, moi mili,  
W samej was chyba będzie Rosja.  
Tu nie o cyfry chodzi, gdzie tam,  
Lecz życie was omija przecie,  
Kiedy siedzicie w gabinetach  
I wódkę pewnie tam pijecie.

W kolchozach pobyc, na budowach,  
A nie tak: w sobie się zasklepić...

I potakujesz:  
— Święte słowa.  
Należy odzwierciedlać lepiej...

Lecz oto drugi:  
— Co tam bająć:  
Budowa, kolchoz! Nie w tym sedno.  
Zdarza się: twórców, piewców najazd,  
A sensu — za grosz wszystko jedno.  
Powieść napiszą przed podróżą,  
Przyjadą, tykną nieco kurzu,  
Kij w beton wetkną, pracowicie  
Tom pierwszy konfrontują z życiem.  
Patrzysz: jest powieść — i wzorowa:  
Metoda murowania nowa,  
Cofnięty wice, szef rosnący,  
Działadło w komunizm zdążający.  
Ona i on — przodownikami,  
Rozruch motoru, partii ramie,  
Zawieja śnieżna, wylom, alarm,  
Minister w fabryce i gala.

Cóż, bliższe są te wszystkie sprawy  
Temu, co jest w rzeczywistości  
Lub może być — lecz chce się zawyż,  
Tak to niestrawne jest w całości.  
Naprawdę taka nuda więcej  
Wszędzie, co dnia, o każdej porze?  
Z czego? Z dni naszych, prac, idei  
I z naszej drogi w przyszłość może?  
Nie, tu już trudno, abym uległ,  
Tu nie ustąpię ani trochę.  
Życie mnie darzy szczęściem, bólem,  
Ja wierzę, męczę się i kocham.  
Chcę żyć, ojczyźnie służyć co dzień,  
Jam bronil jej na wojny szlakach.  
Jam na tym świecie się urodził  
Dla życia, a nie dla wstępniaka.  
Czytasz i z irytacją walczysz.  
Gdzieś kraj? — przy końcu książki pytasz.  
A kraju nie ma. Jest ciąg dalszy.  
Nie, bracie, starczy. Miejsze litość.

I potakujesz:  
— Tak, z pewnością.  
Są, są do krytyki powody...  
Lecz napelniają cię radością  
Te wszystkie skargi i wyrwy.

Bo sady ich i grube żarty  
Tę rzecz przed tobą odsłaniają,  
O której marzysz wciąż, uparty.  
Wiesz, czego ludzie ci żądają:  
Chcą z takim zetknąć się pisarzem,  
Z takim utworem chcą spotkania,  
Gdzie się prawdziwa mowa żarzy,  
Gdzie nie ma dymu zakłamania.  
Gdzie ty — to ty: niezastąpiony,  
Jest za co kochać cię nareszcie,  
Gdzieś taki właśnie — ulubiony,  
Jakim być w życiu pragniesz jeszcze.

I aby miłość mieć tych ludzi,  
Wspomnienia gorzkie byś oddalił,  
Chętnie byś dzień i noc się trudził,  
Chętnie byś duszę własną spalił.  
Ręką byś machnął był gotowy  
Na wszystkie sądy i obmowy.  
Grunt — obowiązek spełnić. Wtedy...

## Fraszki

JULIAN PRZYBOS

## O autorze fraszki: „To jest „Życie”, co?!”

Wie, że Pegaz przeleciał po dwu różnych stronach.  
Nie potrafi odróżnić skrzydeł od ogona.

## Do jednego nurtologa

(fraszka hermetyczna)

Zmyślasz, że mam „manierę p o ż y c z o n a”, gromisz —  
ale nie wiesz — od kogo?  
Przypomnij, też-poeto: kiedyś Leśną Drogą  
Wczoraj Powrót zaczynał,  
z także czyich pożyczek składałeś swój tomik?  
(A pouczaj Marcina).

## Do wszystkich nurtologów

(lament nieustawionego)

Od chwili, gdy Putrament  
nie pomieścił mnie w nurcie,  
mam w duszy ból i zamęt,  
podnoszę głośny lament,  
współczujcie mi, współczujcie,  
wy, co jesteście w nurcie!  
Kłnę formalistkę różę,  
nigdy jej nie powacham,  
gdy trzeba, się zanurzę  
w dwu-trój-czwór-pięcionurcie,  
po szyję w nurtów helkot  
po ple-plerelki w konchach,

byleby nie był poza!  
Niech się skończy ta zgroza,  
styksionurtu piekielko,  
że Przybos wciąż jest poza!  
Skróćcie dwudziestolacie,  
do jednej w IBL-u chwili,  
byleście mnie zmieścili!  
Wychowajcie mnie wreszcie,  
zaszczepcie pryszcz na nosie,  
ustawcie mnie, umieście —  
koniec! Spokój z Przybosiem.

Nagle — głos z góry zabrzmiał nowy:  
— Nie wyjdzie...  
— Jak? Co, proszę?  
— Nie dam...

Nie okrzyk to, dźwięczący mle —  
Nie szorstki ton, właściwy szefom,  
którzy się tak przyzwyczaili  
Odmowę rzucać przez telefon.

— Nie wyjdzie — jeszcze raz wycedził.  
— Coście za jeden, tam na górze?

— Sam dobrze wiesz...  
— Nie. Czas, bym wiedział...  
— Jam twój redaktor. Chętnie służę.

Z górnego miejsca z głośnym śmiechem  
Wychylił głowę sąsiad trzeci:  
— A cożś myślał? Żeś odjechał  
Ode mnie również? Nigdy w świecie.  
Jam twym sąsiadem również tutaj,  
Drzemie, lecz wszystko słyszę we śnie.  
Intrygowała mnie dysputa:  
Nie chciałem ci przeszczepić weześniej.  
Tyś mnie naprawdę zaciekawił,  
Patrzę — nie wierzę oczom prawie:  
Ach, jaki piękny! Co za ogień!  
Nie może go odwaga zawieść!  
Lecz jak on, myślę, po zabawie  
Na stare się wycofa drogi?  
Jak sam na odwrot trąbić będzie?  
Nie wiesz, dlaczego? No bo fakt to,  
Ze z tobą zawsze, z tobą wszędzie  
Ja przecież jestem: twój redaktor.  
Przelewasz twórcy swój niepokój  
Na biel papieru, ma'ra głowo,  
Ale beze mnie — ani kroku:  
Wiersz każdy śledzę, każde słowo.  
Usunę drobniak — no, nie prawie:  
Tu, tam — i niby jesteś cały.  
Wszystko niekniętym pozostawie,  
Co sam wykreślił zamierzałeś.  
Ołówkiem, gumką parę razy —  
Ż sercem, faktownie, bez hałasu.  
I z druku wyjdiesz jak obrazek.  
Takim widziałem się zawczasu.

— Wolnego, zaraz! — rzekłem stogo.  
Choć dreszcz mnie przejął, mówiąc szczerze, —  
Czy nie za dużo swoją drogą  
Na siebie, redaktorze, bierzesz?

— Nie, skąd! —  
Głos zniża przypochlebnie, —  
Nie błoż. Ja bym nie śmiał, nie mógł!  
Wszystko, pod ręką mając ciebie,  
Powierzam tobie — pióru twemu.



Rys. Maja Berezowska

Mnie się samemu nie oplaca  
Ślezieć, i bagrać, i zlorzeczyć.  
Ty wykonujesz moją pracę  
Za mnie. I w tym jest sedno rzeczy.  
Tak winno być, mój bohaterze,  
I o coż tu się mamy spierać?  
Jam bardzo kontent z ciebie, wierzał.  
Do niego, myślę sobie nieraz,  
Innym daleko jest — i kwita.  
Za przykład stawiam cię kolegom:  
Tego poety ja nie czytam,  
Tu się obawiać nie ma czego.

Mówiąc to, chytrze mrugnął do mnie:  
My dwoje, niby... Między nami...  
Lecz ja przerwałem mu gwałtownie:  
— Rzekłeś? Więc teraz złaż i zamierz.

Nie możesz mi rozkazów wydać,  
Choćbyś plawil się w honorach,  
Przyczyna zaś jest prosta chyba:  
Nie jawą jesteś, ale zmorą.  
Spłodziły cię po pijanemu  
Nieróbstwo wspólnie z bezieleniem.  
Strachu na wróble, nie z twych przemów,  
Ja znać cię wcale nie mam chęci.  
Zywiolom moim — moja praca,  
Mnie trud bezsensu niepokoi.  
Ty wśród majaków się obracasz,  
Tyś cieniem. Tyś lenistwem moim.  
Otrząsną się — i nie ma śladu  
Po tobie i twych pustych słowach.  
W chwilach słabości i bezwładu  
Mógłbyś mnie chyba upolować,  
Lub gdybyś pracy żar postradał  
I myślał, że dla mego pióra  
Ktoś albo coś jest gdzieś zawadą,  
A kiedy indziej nie nie wskórasz.  
Tę rzecz o tobie, z myślą o tym,  
By śmieli się, czytając, ludzie —  
Sam wymyśliłem. Co do joty.  
A ty? Jakż jest twój w tym udział?

Tymczasem zaś na korytarzu  
Jak na widowni cały wagon  
Stal i gorący dyskurs darzył  
Współczuciem swoim i uwagą.

A mój starszulek i mój major  
Milcząc bawili się wspaniale.  
Wolnego miejsca nikt nie zajął:  
We troje byliśmy w przedziale,  
I tylko — jeśli bym ulegał  
Przesądom — głowę dałbym za to,  
Że zapach siarki z miejsca tego  
Powoli spłynął w wentylator...

Przełożył Eugeniusz Żytomirski

W KINIE I GDZIE INDZIEJ

## O dzbanach i winie

Istnienie pewnych tradycyjnych  
konstrukcji literackich, powta-  
rzających się konwencji i mo-  
tywów nie jest dla nikogo tajem-  
nicą. To bodajże Anatol France na-  
pisał kiedyś, że w literaturze ist-  
nieje właściwie kilkadziesiąt stale  
powtarzających się motywów i nie  
ten jest ich autorem, kto wykorzy-  
stał je pierwszy, ale ten, kto zro-  
bił to lepiej. Oczywiście, z bie-  
giem czasu ilość tych motywów się  
powiększa, niektóre obumierają,  
ale fakt pozostaje faktem.

Do takich tradycyjnych kon-  
strukcji literackich w dziedzinie  
literatury młodzieżowej należy  
również tzw. „wielka przygoda”.  
Na czym polega jej zasadniczy  
kontur? W skrócie można by go o-  
kreślić następująco: młody boha-  
ter czy grupa młodych bohaterów  
staje wobec sytuacji, w której spa-  
dają nań „dorosłe” obowiązki i za-  
dania, i trzeba je rozwiązać bez  
ingerencji społeczeństwa dorosłych.  
Atrakcyjność koncepcji polega  
zazwyczaj fakt, że okoliczności w  
których rozgrywa się akcja zabar-  
wione są bądź to przygodą, bądź  
bohaterstwem, często zresztą obu  
tymi czynnikami naraz.

Korzystając przez fil z trady-  
cyjnych wzorów literackich jest  
faktem niejednokrotnie już oma-  
wianym. Pisałem o tym również w  
jednym z pierwszych felietonów  
niniejszego cyklu, przy okazji „Ta-  
jemniczej wyspy” Jules Verne’a.  
Nieraz również podkreślano fakt  
dużej dowolności w traktowaniu  
tradycyjnych motywów, dowolnoś-  
ci, dyktowanej przez poszukiwanie  
owego i e p s z g o rozwiąza-  
nia, stosowanie tradycyjnych kon-  
strukcji do nowych treści, co sta-  
nowi źródło przysłowiowego po-  
wiedzenia o nowym wini w sta-  
rych dzbanach. Pamiętając jednak  
o tej dowolności nie wolno zapomi-  
nać o drugiej stronie sprawy — o  
kształtach dzban, które tylko do  
pewnych granic pozwalają się wy-  
ginać celem pomieszczenia nowego  
płynnu. Nie wolno również lekcewa-  
żyć gatunku napoju, który wlewa  
się do dzbanu.

Takie mniej więcej refleksje na-  
sunęły mi się po obejrzeniu filmu  
pt. „Nierozłączni przyjaciele”. Film  
ten, opowiadający o życiu chłop-  
ców w wieku szkolnym, od pierw-  
szych minut wprowadza widza w  
krag konwencji „wielkiej przygo-  
dy”. Chłopcy znajdują w przy-  
brzeżnej zatoce zatopioną wrak  
niewielkiego statku, który posta-  
nawiają wydobyć, aby odbyć na  
nim podróż w czasie zbliżających  
się wakacji. Uruchomiona zostaje  
młodzieńcza pomysłowość, cała ro-  
mantyka „wielkiej tajemnicy”, pod-  
ręczniki fizyki wyciągane są z tor-  
nistrów nie po to, aby odrobić za-  
daną lekcję, ale by praktycznie wy-  
próbować wartość szkolnej wiedzy.  
Ale.. fizyka okazuje się bezsilna,  
a pomysłowość nieprzystadna. Część  
chłopców odnosi się sceptycznie do  
całego przedsięwzięcia, postanawia  
zwrócić się o pomoc do nauczyciela  
i dyrektora szkoły, a poprzez nich  
do kierownictwa portu, mechanicz-  
nych dźwigów itd. itd., i, o dziwo,  
tym właśnie bohaterom film przy-  
znaje rację. Wali się cała koncepcja  
wielkiej przygody i wielkiej przed-  
sięwzięcia, koncepcja, której rze-  
cznikiem był nie tylko Twain, au-  
tor „Przygód Tomka Sawyer’a”, ale  
i tak niewątpliwie socjalistyczny  
pisarz jak Arkady Gajdar. Wali się,  
bo rację mają nie ci, którzy liczyli  
na własne siły i przedsiębiorczość,  
ale ci, którzy woleli pójść po drodze  
najłatwiejszej, pozbawionej samo-  
dzielności.

W imię czego tak się dzieje? Czy  
w imię jakiejś innej koncepcji pe-  
dagogicznej? Tak, ale ta koncepcja  
pochodzi z „innej parafii” — jest  
nią choć zaakcentowania, że nie  
istnieje zasadnicza przegrada po-  
między światem najmłodszych a ra-  
cjonalnie zorganizowanym społec-  
zeństwem dorosłych. Teza na pe-  
wno słuszna, ale film próbując  
wtłoczyć ją w ramy „wielkiej przy-  
gody” jednocześnie ją przekreśla.  
Bo właśnie owe dorosłe, racjonal-  
ne społeczeństwo zabiera na filmie  
młodemu bohaterom możliwość do-  
skonalej zabawy i wielką szansę  
wychowawczą. Widz odczuwa jakiś  
brak i brak ten rzeczywistości istnie-  
je. Jednocześnie biorąc na tzw.  
zdrowy rozum wszystko jest w po-  
rządku: i forma „wielkiej przygo-  
dy” jest słuszną i niejedną oddała  
nam już przysługę, i teza, w imię  
której zburzono tę formę nie budzi  
wątpliwości. Rzecz jednak w tym,  
że zastąpienie dwóch słusznych  
elementów nie zawsze daje pożąda-  
ny efekt. Nieraz rodzi zgrzyt, że  
szkodą dla obu składników. I film  
nie wychodzi na tym najlepiej, a  
przecież z tego samego materiału  
mogłoby wyjść dwa dobre.

Krzysztof T. Toeplitz

Redaguje Zespół Adres redakcji: Warszawa, ul. Żurawia 32. I p. telefonny: 8 86-11 — Sekretariat, — Red. naczelny 8 79-38 Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska 12, tel. 8 00 81 Wydaje RSW „Prasa”  
Kolportaż: P. P. K. „Ruch”, Oddz. w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel. 804 20 do 25 Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 4 60, kwartalnie zł 13 80, półrocznie zł 27 60, rocznie zł 55 20. Wpłaty na prenumeratę indywiduálną przyjmują  
wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze wiejscy. Cena ogłoszeń: 9 zł za 1 cm<sup>2</sup> Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa” Warszawa, Poznańska 38, konto PKO 1-111-5589, tel. 8 23-09 Rękopisów niezamówionych redakcja  
nie zwraca.